Łódź odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NR 20 (1223) ROK XXIV 17 MAJA 1981 R. CENA 3 ZŁ

„...trzeba będzie wrócić do prezentacji oceny wydarzeń grudniowych i traktuję to na serio... Myślę, że przed Zjazdem."

(Stanisław Kania w Stoczni Gdańskiej)

TOMASZ SOLDENHOFF

wygasłe ogniska

W grudniu 1970 roku miałem piętnaście lat. Tyle samo, ile *Zygmunt Gliniecki*, gdy umierał trafiony kulą na peronie przystanku Gdynia—Stocznia. Tyle, ile ma dziś jego siostra, jasnowłosa *Ania*, która klęcząc przy magnetofonie z pochyloną głową, wprawia w ruch taśmę z odgłosami gdyńskiej masakry...

Palba czołgu, przeraźliwy sygnał kolejki, jak wysoki, ptasi krzyk rozpaczy ponad kanonadę, pisk opon zatrzymywanych samochodów, warkot śmigłowców, bezładne wołanie ludzi. I „Jeszcze Polska" śpiewana w marszu przez kilkutysięczny tłum. I smutna ballada o chłopcu i deszczu przy wtórze gitary.

Zygmunt zginął w dwie godziny po strzałach, które zarejestrował magnetofon.

„I trawa przepadła i chłopczyka nie ma,
a deszcz wciąż pada jak bezsilne łzy..."

To moje notatki ze spóźnionej lekcji historii, aneks do maturalnego świadectwa.

Jest na gdańskim Pomniku płyta, a w niej wyryte są słowa:
„Który skrzywdziłeś człowieka prostego...
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając
Nie bądź BEZPIECZNY. Poeta pamięta.
Możesz go zabić — narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy".

U dołu relief: cztery kobiety, jakby dźwigające tę przestrogę. Proste, miękkie suknie odcisnęły zarysy chudych ciał. Na głowach chusty, nogi giną w robociarskich trepach.

Pierwsza stoi tyłem, lecz z twarzą tak zwróconą do patrzącego, że niemal widać łzę, którą ociera dłonią... Druga wygraża niebu; pięści wdarły się w ostatnią linijkę wiersza, jak gdyby chciały rozepchnąć, rozbić te słowa,

Dalszy ciąg na str. 3

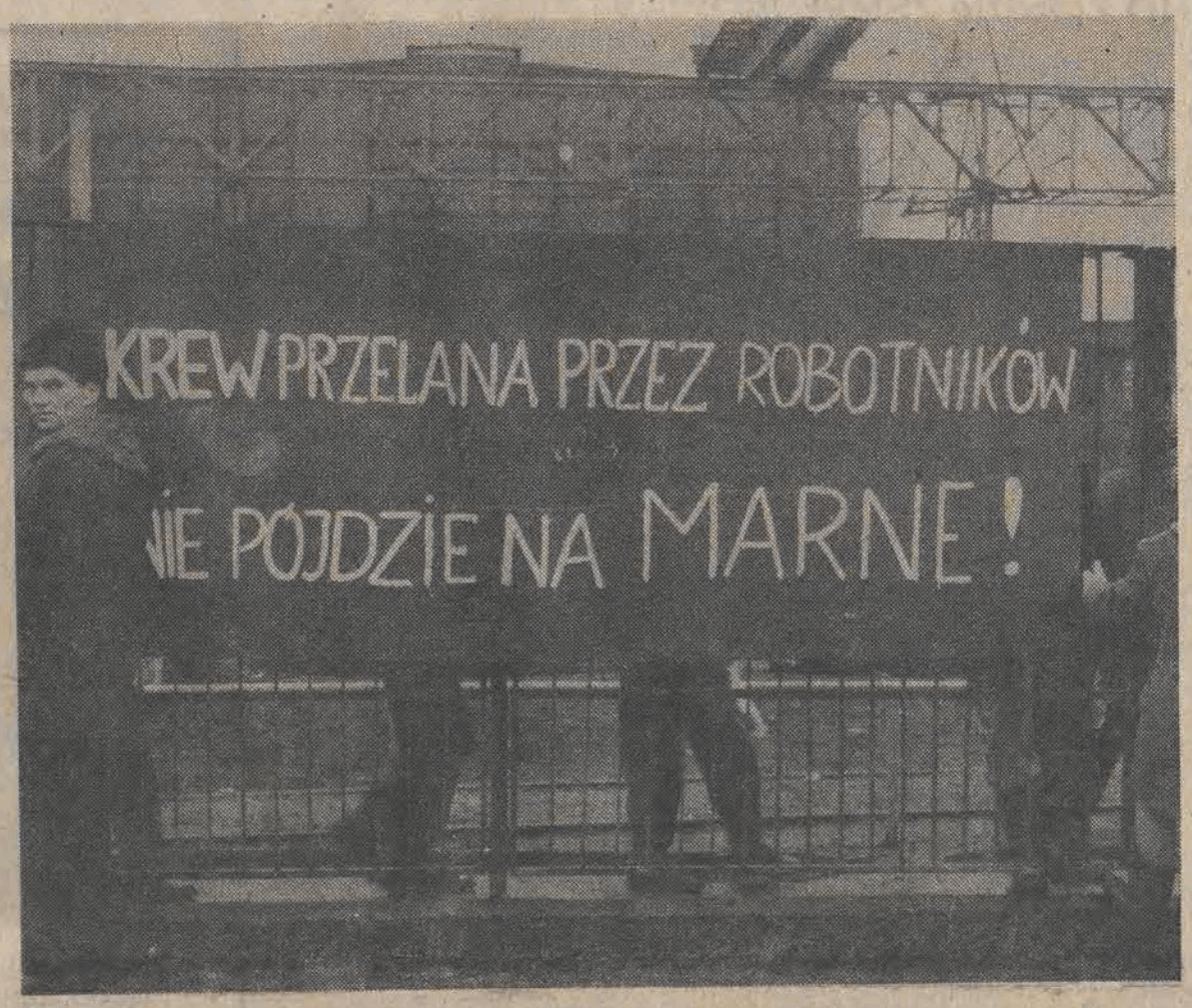

Grudzień 1970. *Foto: CAF — A. Witusz*

WITOLD KASPERKIEWICZ

przedsiębiorstwa w obliczu reformy

W gospodarce, podobnie jak w wojsku, ideałem działania jest dobry plan strategiczny połączony z dobrą taktyką jego realizacji. Mistrzowską strategią łatwo popsuć złą taktykę, lecz zupełnego braku strategii żadna taktyka zastąpić nie może. Współzależność strategii i taktyki w życiu gospodarczym oznacza, że centralne ustalenia społeczno-ekonomiczne (tzw. decyzje makroekonomiczne) i działania przedsiębiorstw tworzyć powinny harmonijną całość. Przyjmując nieco optymistyczne w swej wymowie założenie, że nadchodząca reforma spowoduje powstanie racjonalnego systemu gospodarczego, należy stwierdzić, że przedsiębiorstwa stanowić będą sui generis „poligon" sprawdzający słuszność tego systemu. Jest to poligon żywy i bardzo wrażliwy na wszelkie błędy pojawiające się w planowaniu strategicznym, w generalnych rozwiązaniach systemowych. Dlatego też **warunkiem powodzenia reformy gospodarczej jest wypracowanie takich rozwiązań systemowych, które umożliwiają przedsiębiorstwom wybór prawidłowej ekonomicznie taktyki działania.** Obecnie truizmem już jest sformułowanie, że podstawą owej taktyki powinna być zasada samodzielności i samorządności przedsiębiorstwa.

Sytuację, w jakiej znajdują się przedsiębiorstwa znamionują ostre deficyty środków produkcji, brak poczucia stabilizacji i prowizoryczny charakter zmian ekonomicznych zapoczątkowanych przez tzw. „małą reformę". Przedsiębiorstwa funkcjonują w okresie przejściowym, w którym stare struktury gospodarcze i zasady działania wciąż obowiązują, a nowe rozwiązania pozostają nadal w sferze projektowania i przemyśleń. **Stan tymczasowości i niepewności nie sprzyja podejmowaniu przez przedsiębiorstwa długofalowych przedsięwzięć mających na celu podniesienie efektywności gospodarowania.** Wręcz przeciwnie, może zachęcać do asekuranctwa i bierności w rozwiązywaniu trudnych problemów. Odpowiedź na pytania: jak funkcjonują przedsiębiorstwa w tych arcytrudnych warunkach?, z jakimi borykają się trudnościami?, jak są przygotowane na przyjęcie reformy gospodarczej — wymaga poznania realiów ekonomicznych przedsiębiorstw, a więc fragmentarycznej chociażby obserwacji empirycznej.

Na podstawie krótkiego zwiadu empirycznego dokonanego w kilku przedsiębiorstwach reprezentujących przemysł lekki, maszynowy, owocowo-warzywny i budownictwo, postaram się przedstawić zasadnicze spostrzeżenia i wnioski, jakie zrodziły się przy próbie znalezienia odpowiedzi na wymienione pytania. Źródłem in-

Dalszy ciąg na str. 4 i 5

asfalt w królewskich ogrodach

RYSZARD PORADOWSKI

Nie dysponuję danymi dotyczącymi zniszczeń zabytków w ostatnich latach. W 1970 r. wg danych Ministerstwa Kultury i Sztuki ok. 1500 obiektów znajdowało się niemal w całkowitej ruinie. Część z nich zapewne zniknęła już z powierzchni ziemi. Jeśli w jakimś znikomym stopniu skłonny jestem rozgrzeszyć ludzi odpowiedzialnych za ratowanie przynajmniej części tych zabytków (brak funduszów, wykonawców, fatalny stan budowli) nie mogę zrozumieć dlaczego w majestacie prawa wydajemy dziś wyroki na zabytki dobrze zachowane.

CASUS PIOTRKOWSKI

Piotrków Trybunalski, miasto zjazdów generalnych, sejmów i sądów, zwane niegdyś „małym Krakowem", jest jednym z nielicznych w kraju zespołów urbanistycznych, w którym do naszych czasów przetrwały ślady niemal wszystkich epok historycznych. Najwięcej o tym powiedzieć mogą historycy, archeologowie i znawcy dzieł sztuki. W okresie powojennym ziemia odsłoniła już sporo tajemnic piotrkowskiego grodu, ale nadal wiele z nich czeka na swojego Champolliona.

Do Piotrkowa zagląda sporo turystów. W mieście nad Strawą szukają oni śladów sejmów, hołdów pruskich (tak, tak, było ich tu kilka) i sądów trybunalskich. Magnesem przyciągającym ludzi są także trzy huty szkła, z których najstarsza już niedługo obchodzić będzie stulecie, i niezwykle piękne okolice z dużymi połaciami lasów, strumykami i rzekami. W okolicach Piotrkowa nie brak też bardzo cennych zabytków.

Zatrzymajmy się zatem przy zabytkach tworzących w tym mieście niepowtarzalny klimat. Jest ich dużo. W roku dożynkowym, gdy w pośpiechu nakładano miastu odświętną szatę, kamieniczki przy ul. Farnej, piękny pałac Rudowskiego, klasztor podominikański i cerkiew pamiętająca czasy gubernialnej świetności, odmłodniały i wypiękniały nieco. **Taka sama kuracja bardziej jednak potrzebna jest całemu zespołowi staromiejskiemu, tonącemu w błocie, zawilgoconemu, stanowiącemu prawdziwą udrękę dla jego mieszkańców.** Przystąpiono co prawda do przygotowywania dokumenta-

Dalszy ciąg na str. 8

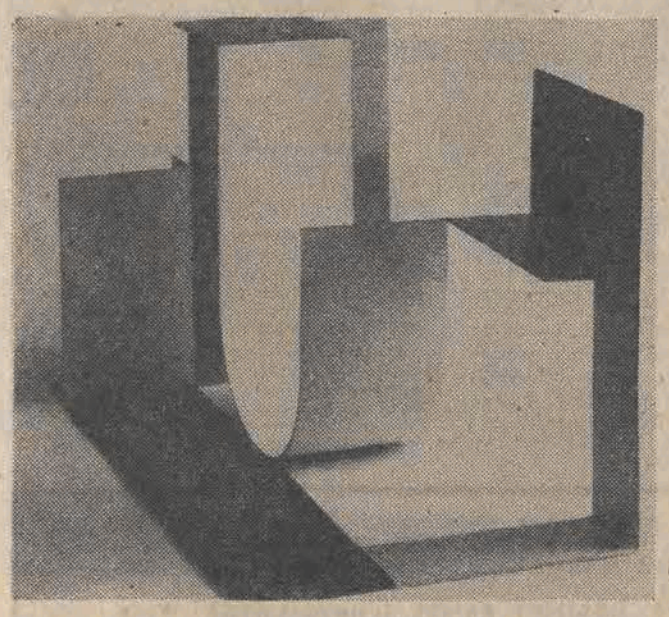

KATARZYNA KOBRO. — Kompozycja przestrzenna. Foto: Z. Sowiński

ewenement Katarzyny Kobro

JANUSZ ZAGRODZKI

Dnia 21 lutego upłynęła 30 rocznica śmierci *Katarzyny Kobro*, artystki, która nie doczekała się za życia uznania współczesnych, zmarła w nędzy opuszczona prawie przez wszystkich, otoczona atmosferą fałszywych podejrzeń i nie uzasadnionej niechęci.

Od pierwszych wystąpień artystycznych *Kobro* minęło ponad 60 lat. Jest to okres, który wystarcza całkowicie na pełną ocenę jej dorobku. Kim była, czego dokonała ta niezwykła kobieta, spopularyzowana wśród łodzian głównie poprzez niewybredne dowcipy i powierzchowne złośliwości, czym zasłużyła sobie na takie „uznanie" i „wdzięczność" potomnych? Ustalony polską tradycją porządek rzeczy, w którym artyści sławę i uznanie w kraju zawdzięczają dokonaniom w innych rejonach świata, mógłby w pracy twórczej *Kobro* znaleźć jeszcze jedno potwierdzenie. Aby wyjaśnić rolę jaką odgrywają jej dokonania artystyczne, a nie chcąc być posądzony o lokalny patriotyzm, odwołam się do opinii najbardziej znanych krytyków sztuki światowej.

Michel Seuphor autor monumentalnej *L'art abstrait* pisze: *rzeźby Kobro są bez wątpienia najbardziej zaawansowane w rozwoju i najczystsze spośród prac z lat dwudziestych. Gerald Gassiot-Talabot* czołowy krytyk *Les Nouvelles Litteraires* odnajduje w jej *zadziwiających pracach, zarówno zalążki, jak i skończony kształt zjawiska zwanego rzeźbą angielską. — Łatwo przewidzieć* — pisze *Gassiot-Talabot — jakim zaskoczeniem dla wielu artystów i krytyków będą te rzeźby Kobro, o których oczywiście — jako ofiary pięćdziesięciu lat paryskiego szowinizmu — nigdy nie słyszeli.* Wielu krytyków i teoretyków sztuki *widzi w* dziełach *Kobro*, twórczość znacznie wprzedzającą poszukiwania współczesnych. *Dieter Honisch*, dyrektor Neue Nationalgalerie w Berlinie Zachodnim podkreśla jej prekursorstwo zarówno wobec strukturalnych poszukiwań niemieckiej grupy Zero jak i twórców nowej sztuki amerykańskiej kręgu *hard-edge* (ostry kontur) przedmiotów, obrazów *Franka Stelli* czy *Ellswortha Kelly*.

Zaskoczenie jakie prace *Kobro* wywołały wśród krytyków i historyków sztuki oddaje wiernie, opublikowany w *Neue Zürcher Zeitung*, artykuł *Richarda Häsli*, który z *konstruktywizmem polskim* zetknął się dopiero na wystawie w Otterlo: *Polska awangarda? Zna się ją na Zachodzie równie mało jak sztukę polską w ogóle. To, że ona istnieje, że ma międzynarodową rangę, że do dziś zachowała aktualność wskazuje wystawa w Muzeum Sztuki w Łodzi.* Szczególne zainteresowanie *Richarda Häsli* wzbudziła twórczość *Kobro*, której prace stanowiły dla niego rewelację. Próby rzeźbiarskiego opanowania przestrzeni dokonywane przez współczesnych artystów europejskich i amerykańskich, w zestawieniu z pracami Kobro, jego zdaniem *sprawiają wrażenie zręcznie wykonanych modyfikacji.*

W opinii większości krytyków *Kobro*, zostaje uznana za jednego z najbardziej interesujących rzeźbiarzy europejskiego konstruktywizmu, jej

Dalszy ciąg na str. 10

MAREK TRUSZKOWSKI

SPIĘTY LUZ

(O Zjeździe ZSMP)

Na dobre zaczęło się już pierwszego dnia, roboczego, jeszcze przed oficjalnym otwarciem obrad. Poniekąd manifestacyjnie większość z 1600 delegatów nie przybyła do Sali Kongresowej w strojach organizacyjnych, jak zalecano. Rzecz nie do pomyślenia — jeszcze niedawno. I w rzędach opatrzonych tabliczkami z nazwą województwa (*„Polska była słaba w okresie rozbicia dzielnicowego i słaba jest obecnie. Bo 49 województwami łatwiej i wygodniej autokratycznie rządzić"* — Jan Ermanowicz, woj. kaliskie) zasiedli delegaci na III Nadzwyczajny Zjazd Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, w czym tam kto miał. Krawaty czewieniły się tylko tu i ówdzie, zresztą, jak ujęto to w „Polityce" — „rozluźnione" Nieustającym refrenem środowego popołudnia i całego czwartku było: „ja w sprawie formalnej". Do każdego z siedmiu ustawionych na sali mikrofonów ustawiały się kolejki, po każdej bez mała kwestii, od najbłachszych, proceduralnych poczynając, po najważniejsze, żywotne dla związku i istotne dla obrad Zjazdu.

Tego pierwszego dnia — był przedsmak wydarzeń następnych. Na sali czuło się to szczególnie w kuluarach jeszcze bardziej, a żurnaliści obsługujący biuro, redagujący biutetyn i poszerzone codzienne wydanie „Sztandaru Młodych", dysponujący poprzez kontakty nie całkiem formalne wiedzą jakby wyższego rzędu, lekko podszyci strachem roztaczali czarne wizje. Tajemnicą policyjnela były bowiem próby rozwalenia Zjazdu, i dosłownie, i w przenośni. Ton zaczęły nadawać delegacje z dużych ośrodkow przemysłowych, · Katowic, Wybrzeża, no i Warszawy (wstyd przyznać, ale delegacja łódzka pozbawiona wodza — Jurek Marczewski pełnił obowiązki szefa komisji wyborczej i w trakcie maratonu personalnego i najrozmaitszych przepychanek żal było czasem nam patrzeć z powodu trudności i niewdzięczności tej roli — nie odegrała tu większej roli). Szybko stało się jasne, że z grona delegatów tych ośrodków wybrany zostanie nowy przewodniczący. W grę wchodził Klima, Kierzanowski i stopniowo stanowiska delegacji polaryzowały się po stronie J. Jaskierni, doktora z UJ, przewodniczącego Głównego Sądu Koleżeńskiego. Wygrał zresztą w drugiej turze, ale za to w porównaniu z pierwszą — wyraźną większością głosów.

Te delegacje pokazały reszcie delegatów, „co wolno". Otrzaskane z demokracją „u siebie", dały przykład rozpoznawania i eliminowania manipulacji proceduralnych. Ludzie z tych ośrodków pierwsi wyłapali na proponowanych listach powtarzające się nazwiska reprezentantów „pięćdziesiątego województwa" — Zarządu Głównego ZSMP. Ustępujące ciało w ogniu pytań, zarzutów, gorącej wymiany wniosków musiało — i to jak najbardziej zasłużenie — wziąć na siebie odium błędów popełnionych i niezawinionych. *(...mamy wielką, historyczną szansę, by nie podzielić się, nie pozwolić, na manipulowanie młodzieżą, lecz zluzować „zmęczonych" prominentów* — J. Ermanowicz). Taka postawa miała i inny, głębszy sens — chodziło o pociągnięcie za sobą, przyciągnięcie głosów delegatów niezdecydowanych, przede wszystkim z mniejszych ośrodków, zaniedbywanych i dominowanych absolutnie przez miejscowych „władców". Te rachuby wzięły w łeb, rychło się bowiem okazało, że ci dotąd dyskryminowani, po kilugodzinnym kursie demokracji są jeszcze bardziej radykalni, odwrotnie proporcjonalnie do dotychczasowej stagnacji, niemożności i „niechcenia" To oni eskalowali wszelkiego rodzaju przepychanki, skacząc do mikrofonu „w sprawie formalnej" i wypowiadając kwestie szybciej, niż zdążyła nad nimi częstokroć pomyśleć głowa. Na luzie, bez słów dobierania, często — bez taktu nawet (*„...resort ma niepoważne stanowisko wobec problemów kolejarskiej młodzieży, kochani, mówię wam, minister Zajfryd nas olewa, no tak po prostu nas olał* — Marek Kopyt z Gdańska).

Miał ten luz i przyspieszony kurs demokracji — ujemne strony. Po pierwszych zachłyśnięciach, pełnych haustach wolności słowa i stanowiska szybko zaczął rodzić się strach. Może to nieodpowiednie słowo — więc: obawa. Po pierwsze — przed partią, której relatywnie poświęcono na tym zjeździe najwięcej miejsca, słów krytyki, ale i nadziei na inspiracje i opiekę z jej strony w przyszłości. (*„Byliśmy wszystkim po trochu, byliśmy pasierbami partii... Rozgraniczmy — co partii, to partii, co związkowe, to związkowe* — M. Kopyt. I następny głos: *...„nie ma co zdobywać i kokietować władzy, trzeba natomiast zdobywać społeczeństwo i jego opinie dla organizacji; nie należy stać w ogonku do władzy"*— Jarosław Klima, woj. katowickie — *„Partia nie powinna proponować nam nic takiego, czego realizacja nie leży w sferze jej możliwości"*). Trochę to przypominało podszczypywanie starszej siostry, trzeba jednak przyznać delegatom, że nie wahali się przed konkretnymi, krytycznymi wystąpieniami w obecności S. Kani, K. Barcikowskiego, T. Grabskiego czy — chyba najwięcej — M. Rakowskiego.

Po drugie — był to strach o bazę. Ludzką. Związek uszczuplił się o milion członków, tj. o jedną trzecią, tendencje odśrodkowe grożą ze strony młodych demokratów, Związku Młodzieży Wiejskiej przede wszystkim (gwizdy na szefa tej organizacji W. Świrgonia i nazywanie jej członków „renegatami" nic nie załatwia, — podobnie jak przetrzymywanie W. Świrgonia w przedsionku zjazdu przez kilka dni. Skorzystał — modyfikował — stosowanie do przebiegu obrad, swe wystąpienie). Ale także ze strony uczniów. wcale niebłahej siły „w szeregach", najbardziej dotąd obok młodzieży wiejskiej, bez należytej reprezentacji we władzach. Do tego strachu przepraszam: o-

bawy, dołączyła świadomość, że przy zdecydowaniu się na formułę wielośrodowiskowości organizacji trzeba zaproponowac program dla wszystkich. Stąd uczucie niedosytu po obradach, albowiem tego się mimo prób nie dopracowano.

We wszystkich tych obawach, przy pełnym poparciu dotychczasowym kompleksem niedowartościowania, „małoznaczenia" itp., pierwsze skrzypce grała nuta lęku przed manipulowaniem. Choćby cień podejrzenia wywoływał burzę, spięcia. Relegowany z prezydium zjazdu delegat Włocławka, którego nazwisko po prostu z litości należy pominąć, zwołał ac hoc nieformalną konferencję prasową, na której bez ogródek wykrzykiwał *„ta banda łobuzów daje sobą manipulować"*. A że w korytarzyku już czekali jego koledzy, aby odebrać mu mandat delegata, miał „podbudowę" swej demagogii. Zresztą cennym jest i to, że właśnie w powodzi demagogicznych wystąpień zachowano nad podziw wiele trzeźwości zaspanych umysłów. Zaspanych, bo radzono od świtu do świtu z małymi przerwami na sen. Od razu, na raz chciano załatwić wiele, jak najwięcej, wszystko. Ten zapał ma i dobre strony, w tyglu najłatwiej o przyrządzenie konkretu.

O manipulowanie podejrzewano wszystkich, prezydium, partię, złe moce, prasę i tv. Do burzy prasowej przyczynił się premier i złożenie kwiatów pod tablicą upamiętniającą miejsce śmierci J. Krasickiego. A premier — bo solenizant. Więc gdy zamieszczono w „Sztandarze" zdjęcie z „kwiatowymi" akcentami, burza trwała na temat: jakim kluczem kierowała się redakcja zamieszczając takie zdjęcia? I chęć poznania tajnych dotąd rzekomo mechanizmów. Telewizja natomiast podpadła tak dalece, że — poważnie najzupełniej — proponowano poprzez mikrofony marsz na Radiokomiet, okupowanie sali ze skandowaniem „kłamią, kłamią" itd. Związek pod partyjnopolitycznym parasolem był nietykalny — tym większy szok, gdy tu i ówdzie, coraz więcej i częściej, zaczęły pojawiać się głosy pod jego adresem krytyczne. Sami delegaci przez pierwsze dni — nie tylko, bo właściwie „za całokształt", zasłużyli nie raz i nie dziesięć na totalne schlastanie. Że tego nie uczyniono — to właśnie zasługa tych rozsądnych żurnalistów, którzy mieli na uwadze pryncypia, a nie epatowanie czytelników tanimi prześmiewkami. Czyniła to zresztą ze skutkiem „Gazeta zjazdowa" w „Slalomiku", wzmocnionym silną ekipą „Plebeja", zamieszczająca w każdym bez mała numerze — rozchwytywanym — cwiszenrufy i wręcz jadowite przytyki pod adresem delegatów. A „chłopcy" z TV, żeby ratować swój nadwątlony prestiż, odciętej od sali obrad i monitorów gromadzie pismaków serwowali z magnetowidu importowane, bardzo niecenzuralne taśmy *„podobno samego Szczepańskiego"*. Tak więc i dla dziennikarzy, co i raz — na długie okresy — relegowanych z sali obrad, rzadko na nią przywoływanych, były jaśniejsze chwile z Erosem. Co przy tym zmęczeniu wynagrodziło skromne obchody imienin Wojciechów, Jurków, Marków i Jarosławów. Jakby nie patrzeć, te obawy pod adresem publikatorów im samym unaoczniły raz jeszcze własną potęgę...

Kolejna obawa — lek przed tym, by nie pozostać niewysłuchanym. Żeby to wszystko, co się tu mówi i o czym się mówi, dotarło do kogo trzeba, żeby musiał zająć stanowisko, zabrać głos i odpowiedzieć, tu, na tej sali, pytającym — bezpośrednio. Tak doszło do szantażu, gdy garnitur partyjno-rządowy nie przybył na kolejną turę obrad. Wniosek z mikrofonu nr 2 — i szef ustępującego zarządu, wobec groźby przerwania obrad, telefonicznie zorganizował nową ekipę. Trzeba przyznać, kompetentną. Tak narodziła się osławiona „godzina szczerości" — na pytania sali odpowiadali przedstawiciele resortu przez ponad godzin trzy. Znakomicie wypadł w niej sekretarz Barcikowski, nieco słabiej — letnio przyjęty wicepremier Rakowski (gdy po jego wystąpieniu „w sprawei formalnej" zaczęły się odzywać głosy krytyczne, opuścił był salę, pozostawiając delegatów z obietnicą utworzenia rządowego komitetu ds. młodzieży. Wzbudziło to też opory, bo mniemano iż „manipulanci" na stanowisko szefa tego organu już szykują A. Kołtka, ustępującego przewodniczącego ZG).

Najgorzej — wiceministrowie, bezradni wobec tej agresywnej 1600-osobowej sali, stremowani tą agresywnością, nie pamiętający często „wskaźników" i liczb podstawowych, przedstawiający w parominutowych odstępach różne koncepcje. Cyrk to był zaiste i kabaret słowny, gdy ze stenogramów ich wystąpień robiliśmy „czystą" wersję, nadającą się do wydrukowania. Poloniści mieliby tu materiał przebogaty. Przyznać jednak trzeba, że w kilku przypadkach odpowiedzi były rzetelne, konkretne (wide wicemin. J. Wojciechowski w sprawach szkoleń zawodowych, reformy oświaty itp.).

Był też lęk przed własnymi, ograniczonymi przecież możliwościami percepcji i kontynuowania obrad, przy jednoczesnych chęciach załatwienia tak wielu spraw. Szły godziny za godzinami, w tramwajach robił się poranny tłok, a delegaci radzili. Co i raz wynoszono zasłabniętych — dwukrotnie lekarze przerwali obrady, nie ręcząc za stan delegatów.

Lęki te były bardziej urojone, niż rzeczywiste. Po prostu — kompleksy zaszłości i „sterowania" wobec obecnych możliwości mówienia o wszystkim, ostro po oczach, wobec najwyższych władz, możliwości rzeczywistego, demokratycznego (w kuluarach mówiono o obradach per „szalejąca demokracja' 'lub „galopująca" — ale wszystkiego trzeba się z czasem nauczyć, a tym trudniej, gdy wzorów nie ma) oddziaływania na swoją organizację i jej przyszłość, często przerastały delegatów. I nawet marginalną pozostaje kwestia, czy wobec niewątpliwego sukcesu jakim było oczyszczenie personalnego przedpola, uchwalenie nowego statutu, atrybutów zewnętrznych w postaci nowego hymnu i krawatów z nowym wzorem — taki niedosyt winien pozostać w kwestiach najważniejszych, które się często skrystalizowały, dojrzały, ale których jeszcze nie potrafiono (a może czasu zabrakło, choć zjazd przedłużono o dwa i pół dnia?) sprecyzować, ująć w formę zapisu i „wytycznej"? Marginalna dlatego, że najważniejsze było to, iż zjazd miał charakter niepowtarzalny, ożywczy, gorący. Nikt z obecnych na takim zjeździe jeszcze nie był — jeszcze dziś rozpamiętuje stokrotnie tysięczne momenty, szokujące swym „dzianiem się", a tak nowe. Mówią o tym łódzcy delegaci na spotkaniach w swych organizacjach, a śmiem twierdzić, że i wnukom będą jeszcze opowiadać. *I z tego charakteru zrodził się klimat, dla tego wszystkiego, co trzeba zmienić, wypracować, poprawić. Żeby to była organizacja młodych dla młodych. Lepsza jakościowo. Odpowiedzialna i wiarygodna. Demokratyczna.*

Foto: R. Łucyszyn

7 maja br. odbyło się odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci prof. dr ALEKSANDRA KAMIŃSKIEGO na domu przy ul. Mariana Buczka 30. Pedagog, wychowawca harcerskiej młodzieży, organizator „Szarych Szeregów", pisarz, autor „Kamieni na szaniec", mieszkał tu w latach 1945—1974.

W godzinach popołudniowych, w Muzeum Historii Miasta Łodzi odbył się wieczór poświęcony Aleksandrowi Kamińskiemu.

Inicjatorem uroczystości było środowisko pisarskie Łodzi.

Obszerny tekst na temat „Szarych Szeregów" zamieszczamy w niniejszym numerze na str. 11.

TYDZIEŃ W POLITYCE

Uroczyście, jak co roku, a może na jeszcze powszechniejszą skalę, obchodziliśmy 9 maja — Dzień Zwycięstwa. Rocznicę wydarzenia sprzed 38 laty, które kończyło najstraszniejszą z wojen i jednocześnie dało początek nowemu układowi sił w świecie a przede wszystkim na europejskim kontynencie. Zwycięstwo nad hitleryzmem okupione zostało milionowymi ofiarami, w tym narodu polskiego. Żołnierz polski walczyłna wszystkich frontach tej wielkiej wojny, a społeczeństwo w kraju nigdy się nie poddało hitlerowskiemu okupantowi. Różnice polityczne miały najczęściej drugorzędne znaczenie. Było więc to majowe zwycięstwo udziałem wszystkich.

Do tego właśnie faktu nawiązał na akademii prezes Rady Naczelnej ZBoWiD — gen. M. Moczar słowami:

„Pokłońmy się dziś nisko całemu narodowi polskiemu zjednoczonemu w walce z hitlerowskim faszyzmem w okresie najtrudniejszym dla kraju".

Z tamtego odległego czasu jest również współczesna konkluzja Gen. Moczar wyraził ją następująco:

„...Ci, którzy chcieliby zepchnąć nasz kraj z socjalistycznej drogi ku katastrofie niech pamiętają, że nigdy nie pozwolimy naruszyć podstaw, na jakich opiera się niepodległość i bezpieczeństwo naszej ludowej ojczyzny.

Zwracamy się więc do wszystkich patriotów, wszystkich ludzi dobrej woli. Łączmy się we wspólnym froncie rozsądku i obywatelskiej odpowiedzialności. Kroczymy drogą socjalistycznej odnowy — jest ona wyrazem naszych najlepszych tradycji, naszych nadziei i naszych oczekiwań".

Wnieśliśmy ten polski akcent w przegląd wydarzeń międzynarodowych nie bez powodu. Nikt bowiem bardziej niż my i to zwłaszcza teraz nie jest równie zainteresowany w szybkim powrocie do międzynarodowego odprężenia dialogu i eliminowania przyczyn napięć do zahamowania wyścigu zbrojeń i rozpoczęcia przedsięwzięć rozbrojeniowych.

Przed kilku dniami ministrowie spraw zagranicznych krajów członkowskich NATO odbyli w Rzymie kolejną sesję. Różnice w ocenie wspólnych ustaleń są bardzo duże. Kraje zachodnioeuropejskie, w których narasta niechęć do rozmieszczenia na ich terytoriach nowej amerykańskiej broni, podkreślają z zadowoleniem, iż wymogły na Stanach Zjednoczonych zgodę na rozpoczęcie rokowań, te zaś uważają, że udało się im zatrzeć różnice. uzgodnić jednolitą formułę w podejściu do stosunków z ZSRR i przeforsować w komunikacie kilka ostrych zdań pod adresem socjalistycznego mocarstwa. Komunikat zdaniem niektórych komentatorów, wyraża zarówno „jastrzębie" nastroje administracji Reagana, jak i sprzyjające odprężeniu podejście państw zachodnioeuropejskich.

Rzymska sesja oceniona została także przez Związek Radziecki, czemu daje wyraz opublikowane oświadczenie TASS.

— Komunikat — podkreśla się tam — z jednej strony mówi o pragnieniu osiągnięcia postępów w dziedzinie ograniczenia wyścigu zbrojeń, z drugiej zaś z miejsca niszczy każdą rozumną podstawę rozwiązania tego problemu, sprowadzając cały sens ewentualnych rokowań do „wprowadzenia istotnych ograniczeń radzieckiego potencjału militarnego". Nie ma w nim nawet śladu zasady równości i jednakowego bezpieczeństwa, a przecież osiągnięcie pozytywnych rezultatów w każdych rokowaniach możliwe jest wyłącznie przy przestrzeganiu tej zasady.

Oświadczenie TASS przypomina, że Związek Radziecki opowiada się **„za możliwie jak najszybszym przeprowadzeniem rokowań w sprawie ograniczenia zbrojeń jądrowych na kontynencie europejskim bez jakichkolwiek warunków wstępnych".**

Jeszcze w ub. roku ZSRR złożył propozycje przedyskutowania i rozstrzygnięcia sprawy ograniczenia i redukcji zbrojeń jądrowych średniego zasięgu w Europie, łącznie z amerykańskimi środkami jądrowymi w wysuniętych bazach. I takie rokowania mogą być niezwłocznie podjęte.

Z obszernego oświadczenia wydobyliśmy tylko jeden wątek — ten, który odnosi się do ewentualności rozpoczęcia rokowań w omawianej sprawie. Ale dokument daje pełniejsze świadectwo radzieckiej gotowości rozwiązywania w dialogu najaktualniejszych problemów. Z tą myślą przedstawiony przecież został przez XXVI Zjazd KPZR szeroko zakrojony program propozycji i inicjatyw Aby jednak odprężenie rozwijało się — nie wystarcza gotowość tylko jednej strony, musi ją okazać i druga, a rzymski komunikat tego nie zapowiada.

W. SŁAWSKI

KRONIKA KULTURALNA

Witamy wracające do kalendarza imprez kulturalnych po kilku latach przerwy, Łódzkie Spotkania Baletowe. Ten odbywający się po raz szósty w dniach 27 maja — 9 czerwca, „festiwal Terpsychory" ma piękne tradycje W minionych latach gościliśmy na scenie Teatru Wielkiego wybitne zespoły i znakomitych solistów. Tłumy entuzjastów gromadziły występy tancerzy radzieckich Miłośnicy tańca współczesnego szturmowali gmach teatru w dniach występów „Baletu XX w" Maurice Bejarta.

Oto tegoroczny program „Spotkań". **Marsylski Balet Narodowy** Rolanda Petit przedstawi „Coppelię' L. Delibesa oraz „Carmen" i „Arlezjankę" G. Bizeta. **Praski Balet Kameralny** Pavla Smoka zaprezentuje „Baletogramy", na które złożą się „Hiroszima" W. Bukovego, I Kwartet smyczkowy L. Janacka i „Żart" do muzyki W. A. Mozarta oraz „Kontrasty" („Amerykański kwartet do muzyki A. Dvorzaka, „Zamawianie ukochanego" P. Ebena i „Dubler" do muzyki F. Suppego). W wykonaniu **Narodowego Baletu Kuby** obejrzymy „Owoce i rzeczywistość" (muz. L. Brouwer), „Ucieczkę" (muz. Seville — Tussaint) „Trapiz' (muz. S. Wonder), „Piesamar" (muz. S. Rachmaninow), „Piasmasis" (muz. S. F. Barroso) i „Florę" (muz. S. Vitier)

Atrakcyjny jak zwykle program przedstawią tancerze radzieccy. Ciekawie zapowiada się także udział w VI Łódzkich Spotkaniach Baletowych amerykańskiej grupy **„The Lar Lubowitch Dance Company"**. **Państwowa Opera** we Wrocławiu wystąpi u nas z trzema polskimi baletami współczesnymi. Będą to „Ad libitum" Kazimierza Serockiego, „Quattro movimenti" — Bogusława Sochaeffera i „Z chłopa król" Grażyny Bacewicz. **Opera Bałtycka** przedstawi „Mandragorę" Karola Szymanowskiego i suitę baletowa „Carmen" Rodiona Szczedrina, a **Polski Teatr Tańca** „Dramatic story" Kazimierza Serockiego, „Kwintet C-dur" Franciszka Schuberta i „Krzesanego" Wojciecha Kilara. **Warszawski Teatr Wielki** zapowiedział „Córkę źle strzeżoną" F. Herolda i Lanchbery'ego. **Łódzki Teatr Wielki** inaugurując VI Łódzkie Spotkania. Baletowe pokaże spektakl zatytułowany „Faust Story", a ponadto „Trzy głosy" (omawiany przez nas wcześniej wieczór debiutów choreograficznych.) W programie spotkań przewidziano także wieczór gwiazd baletu.

Mamy nadzieję, że Łódzkie Spotkania Baletowe na zawsze już wracają do kalendarza imprez kulturalnych Łodzi. Tegoroczne witamy z ogromną nadzieją na rozwój łódzkiego festiwalu baletowego.

KOLEJNY SUKCES odniósł spektakl „Uciechy staropolskie", przygotowany w łódzkim Teatrze Nowym. Jury XXI Kaliskich Spotkań Teatralnych przyznało Grand Prix Kazimierzowi Dejmkowi za opracowanie dramaturgiczne i reżyserię tego spektaklu Jedna z dwu drugich nagród przyznana została Ludwikowi Benoit za rolę w przedstawieniu „Uciechy staropolskie".

DUŻYM SUKCESEM polskich filmów zakończył się w niedzielę 10 bm XXVII Festiwal Filmów Krótkometrażowych w Oberhausen. Wielką nagrodę festiwalu, przyznaną przez miasto oraz trzy dalsze wyróżnienia zdobył film Zbigniewa Rybczyńskiego „Tango", zrealizowany w łódzkim Studio Małych Form Filmowych Film ten uznany został przez jury za dzieło wytyczające nowe drogi w filmie animowanym. Pierwsza nagroda w dziedzinie filmu dokumentalnego przypadła zmarłemu niedawno Wojciechowi Wiszniewskiemu za film „Stolarz".

W CENTRUM KULTURY WŁÓKNIARZY czynne są dwie wystawy. Jedna z nich przygotowana przy pomocy Ośrodka Informacji NRD w Warszawie poświęcona jest największym mimom świata Autorką fotogramów jest Barbara Meffert. Druga z wystaw to ekspozycje pejzaży Mariana Szalewicza

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ Łodzi i Muzeum Historii Miasta Łodzi zorganizowały spotkanie literackie z rodziną państwa Chróścielewskich.

OŚRODEK SZTUKI Młodych w ostatnim tygodniu zorganizował dwa spotkania z twórczością młodych 8 maja odbył się wieczór autorski Jacka Bielenskiego, zaś 11 maja wieczór poświęcony twórczości Bogusława Wojtkiewicza.

KILKA DNI temu obchodziła jubileusz 60-lecia jedna z najstarszych w naszym mieście Zakładowa Orkiestra MPK Tramwajarzy. Powstała w kwietniu 1921 roku i swojej działalności nie przerwała nawet w okresie okupacji.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

wygasłe ogniska

Dalszy ciąg ze str. 1

które nie są w stanie zmieścić jej gniewu, ani unieść rozpaczy. Trzecia złożyła ręce, lecz nie ma nawet sił, by się modlić. Czwarta klęczy, twarz skryła za chustką.

Spotkałem je wszystkie, w tym roku. Żyją w domach przypominających wygasłe ogniska, świat widzą jakby przez zasłonę z popiołu. Minęły dwa miesiące, ale ich twarze wciąż stoją mi przed oczyma. Jak tamte płaczki z reliefu.

OPOWIEŚĆ PIERWSZA

Ta, która kładła kamień węgielny pod Pomnik Poległych Stoczniowców, mieszka przy ulicy Sierocej. To smutna — nie tylko z nazwy — uliczka. Smutna, bo nikt o niej nie wie, nie potrafi wskazać. Długo wędruję przez Stare Miasto, nim odnajduję ten zaułek, ot, raptem trzy kamienice i płaski budynek starego sierocińca. Z jednej strony wybiega na plac przed Począt Polską, na którym srebrna Nike wyjmuje karabin z ręki umierającego pocztowca, z drugiej na ulicę Osiek. To tu założyli Krzyżacy obóz przymusowej pracy dla Kaszubów i otoczyli go zasiekami (niem. „Halzelczuk — osiek).

Smutne to miejsce, bo przywodzi na pamięć umęczoną polskość.

Gertruda Stojecka mieszka w narożnej kamienicy, na pierwszym piętrze, dokąd prowadzą drewniane schody i zapach obiadu.

— *Umówiliśmy się, że nie będziemy nikogo przyjmować* — oświadcza, wyszedłszy przed próg, jakby chciała bronić go przed intruzem — *Tu z Warszawy byli, i z zagranicy, i z telewizji koniecznie chcieli wejść do mieszkania. Ale córka odprawiła: Dajmy spokój, mamusiu — powiedziała... Bo to są, widzi pan — bardzo nieprzyjemne sprawy.*

Stoimy więc przez chwilę, nie wiedząc co począć, przyglądamy się sobie: *Stojecka* jest niska, krępa, posiwiała — jak wszystkie kobiety z Pomnika. Nagle wpada mi do głowy nazwisko *Bogdana Sypki* i to ono sprawia, że *Stojecka* cofa się i zaprasza do wnętrza, chociaż nadal jeszcze nie opuściły jej wątpliwości. Ten opór będę czuł do końca godzinnej rozmowy, jak i sztuczność pytań, i swoją obcość w tym pokoju ze ścianami w zielony deseń, pełnym starych mebli, świętych obrazów i gipsowych figur.

Ale *Gertruda Stojecka* wyjawi mi przyczynę swojej nieufności. Jest to ta sama przyczyna, która sprawia, że drzwi żadnego z domów poległych w Grudniu nie otwierają się szybko przed obcym: LĘK. Minęło dziesięć lat, lecz ludzie, którzy wydawali rozkazy i wykonywali je — nie osadzeni żyją... A także ci, którzy przychodzili potem Którzy ostrzegali, dręczyli, zadawali pytania.

— *Człowiek boi się gdzieś coś powiedzieć, żeby nie zaszkodzić* — tłumaczy *Stojecka*. — *O mnie już się nie rozchodzi, bo niewiele mi brakuje... Ale mam wnuka, dwudziestoletniego i — niech pan sobie wyobrazi — że dwa razy już go zahaczyli, brali na komendę. I czego chcą od tego dziecka? Dziesięć lat w t e d y miał.*

Za szkłem kredensu niewielka fotografia starszego mężczyzny. Siwe włosy, proste, twarde rysy.

— *Letnią porą robił to zdjęcie* — mówi żona — *a w grudniu go zabili. Piętnastego, w Gdańsku przy komitecie. Zginął pod pojazdem zmechanizowanym — jak napisali w oficjalnym zawiadomieniu. Miał wtedy 58 lat.*

Kazimierz Stojecki przyszedł do pracy w Stoczni Gdańskiej jako jeden z pierwszych, jeszcze w czterdziestym piątym. Potem zmienił pracę, lecz wkrótce powrócił do Stoczni, na następne, ostatnie dwanaście lat życia. Jeździł akumulatorowym wózkiem na oddziale T-2 rozwoził materiały i sprzęt. *Fachu nie miał* — powiada żona — *ale życie pracowite i ciężkie, przypłacone astmą. Od czternastego roku ciężko pracował. On naprawdę — Stojecka* lekko unosi głos — *był „krwawym robotnikiem", jak się za sanacji mówiło. Jako chłopiec mieszkał w Piotrkowie Trybunalskim, musiał wstawać o czwartej żeby zdążyć na drugi koniec miasta do huty szkła, gdzie był pomocnikiem... Później z siostrami poszedł do cegielni, pracował od świtu do nocy. Nic nie użył. W tej Stoczni parę złotych zarobił. Nadgodzin mu nie dawali, bo za uczciwy był, prawdę w oczy mówił, a tego nigdy nie wolno mówić...*

— *To musi — upierał się iść uczciwie. A ja mu odpowiadałam: człowieku, przecież teraz żyć uczciwie nie można!*

We wtorek, 15 grudnia — drugiego dnia „gdańskich wydarzeń", (trzeba by je raczej nazwać, gdańskim przełomem) — *Stojecki* wyszedł rano normalnie do Stoczni. O 6.40 sześciuset pracowników wydziału K-3 opuściło jego teren i udało się pod budynek dyrekcji. Za nimi załogi zakładu C i wydziału K-2.

O siódmej zgromadzenie liczyło ponoć już 3 tys. ludzi. Podczas wiecu stoczniowcy dowiedzieli się o aresztowaniu poprzedniego dnia przywódców strajku. Padło hasło odbicia więzionych.

Na miasto wyszli jak stali przy maszynach, w roboczych kombinezonach, w kaskach, i ma rację ktoś, kto powiedział, że ci co zginęli — zginęli właściwie na stanowiskach pracy. O 7.15 tłum znalazł się pod komitetem, ale tym razem nie on był celem, lecz gmach komendy miejskiej na Świerczewskiego. Gdy atak na areszt nie powiódł się (tylko przejściowo opanowano część parteru), a władze wprowadziły do akcjii czołgi, tłum wrócił pod KW i wydał wyrok na gmach. Około dziesiątej już płonął. Wcześniej ewakuowano pracowników Mała grupka, która została, opuściła go w czasie pożaru, różnymi drogami: w kordonie wojska i milicji, a także skacząc przez okna (świadkowie mówią, że przy pomocy chodników ściągniętych z korytarzy). Władze nigdy nie wyjaśniły, czy w budynku ktoś zginął.

Czy już wtedy — gdy podkładano ogień, a potem palono akta i dokumenty — był w tłumie *Kazimierz Stojecki*? Z opowieści żony wynikałoby, że ze stoczni wyszedł o trzynastej i zmierzał do domu. — *Ale musiał to zobaczyć* — dorzuca.

W każdym razie, kiedy około piętnastej duże grupy pracowników Stoczni Gdańskiej, Północnej i Remontowej powracały na teren zakładów, aby proklamować strajk okupacyjny, nie było wśród nich *Stojeckiego*. Później władze ogłosiły, że tego dnia zginęło w Gdańsku 6 osób, a 300 zostało rannych. Wśród tych sześciu był i on.

— *Miał się potem Gierek w stoczni wyrazić, że mąż zaatakował pojazd mechaniczny. To jest niewiarygodne, on by tego nigdy nie zrobił!* — mówi *Stojecka*. I dodaje po chwili: — *Wtedy Gierkowi przebaczyłam, że się tak wyraził, ale teraz...*

W styczniu 1971 przebaczyli także inni i — raz jeszcze — zaufali władzy. Podczas spotkania z władzami w Stoczni Gdańskiej *Franciszek Szlachcic* płakał, obiecywał, że nigdy więcej nie dojdzie w Polsce do strzałów do robotnika. To właśnie po tym zapewnieniu wstał *Gierek* i spytał: pomożecie? — i dodał jeszcze, że nie będzie długo sprawował władzy, doprowadzi kraj do ładu i ustąpi. Doprowadził...

Na błękitny obrus padają fotografie z rocznicowej wystawy. *Stojecka* wkłada okulary, szuka tej, na której mieli stać ludzie z podniesionymi rękami, a naprzeciw czołgi... Przez parę lat nie wiedziała jak zginął, okazało się jednak że ktoś był przy tym i widział. Ale *Stojecka* mimo to woli być ostrożna i co pewien czas zaznacza: *„rzekomo"*.

— *Rzekomo stanęli na ulicy, ręce do góry podnieśli. Ale widać nie liczyli, że te czołgi na nich ruszą. Mąż pewnie nie zdążył uciec, a może gdzie się zaplątał? Albo byli sprytniejsi...*

Tamtego zdjęcia jednak już nie ma, musiała je zwrócić. Za to są inne. Spowity czarną chmurą budynek KW, wozy pancerne stojące długim sznurem na zasłanej papierami, ulotkami chyba, ulicy. Niewyraźne umundurowane sylwetki biegną w bojowym rynsztunku. I jeszcze raz gmach KW, już wypalony, ziejący czarnymi dziurami.

Jest także fotografia stoczniowca, przejechanego przez czołg — jak mówi podpis — między komitetem a Radunią we wtorek 15 grudnia, około dwunastej. Ale to nie jest *Stojecki*.

I ostatnia, lepszej już jakości: grupa stoczniowców składa wieniec na grobie kolegi z T-2.

O późniejszych przeżyciach pani *Gertruda* opowiada jeszcze bardziej niechętnie. Z trudem zmusza się do przypominania tamtych chwil i raz po raz przedziela krótkie, urwane zdania głębokim westchnieniem, po którym znów zapada cisza.

— *Ja od razu wiedziałam, że mąż nie żyje... Ale dzieci zaczęły krzyczeć: co też mamusia wymyśla! Znalazłam go po kilku dniach szukania, w Akademii Medycznej. Mąż poszedł w tamten wtorek bez dowodu, zostawił go w świątecznej marynarce, w której w niedzielę był w stoczni.*

Tam, w szpitalu, miał tylko numer. Żonie nie dano nawet znać o pogrzebie. Odnalazła go w niedzielę, a w nocy wywieźli zwłoki na Emaus, kilkanaście kilometrów za Gdańskiem, i pochowali. Nocne pogrzeby w asyście funkcjonariuszy, a nieraz bez najbliższej rodziny — charakterystyczny motyw Grudnia. Za dopuszczenie do rozgłosu, manifestacje podczas pogrzebu, odpowiedzialnym urzędnikom groziła utrata pracy.

Spytała później takiego urzędnika w Radzie Narodowej: czy mieli jakieś trumny (bo nie chowano tylko jej męża)? Zdziwił się: *nie była pani na cmentarzu?* Pokazali jej grób, na tabliczce napisano: *„zginął śmiercią tragiczną"*, data się zgadzała (to ważny szczegół, bo na rodzinach poległych próbowano często wymuszać zgodę na zmianę aktu zgonu). Później Stocznia ufundowała nagrobek.

Z tej szóstki, którą wówczas położono obok siebie, pozostało dzisiaj tylko dwóch: on i *Aplinary Formela*. Innych rodziny, którym zezwolono na ekshumację, przeniosły na różne cmentarze. Bliżej domów. Nie tylko w Trójmieście, bo spora część z grona 28 ofiar podanych na oficjalnej liście (w marcu nie było jeszcze ich nazwisk na gdańskim pomniku) pochodziła z wielu różnych stron Polski. Na Wybrzeże Gdańskie przyjechali do pracy w portach i stoczniach.

Stojecka powiada, że jej na Emaus blisko. On już tam pozostanie. Tylko nagrobek przydałoby się odświeżyć. Ale skąd wziąć na to? Po odszkodowaniu z WRN (30 tys.) dawno nie ma śladu, a emeryturę przyznano po mężu niewielką, zaledwie 860 złotych. Nie przelewało się wdowie, gdy jeszcze pracowała w zakładach papierniczych we Wrzeszczu, nie przelewa się tym bardziej dzisiaj, gdy jest na inwalidzkiej rencie.

Kiedy zginął ojciec, dzieci były już dorosłe. Oboje, i córka, i syn mają teraz po trójce dzieci. Pani Gertruda obawia się najbardziej o dwudziestoletniego wnuka. Ten niepokój powraca w czasie rozmowy i sprawia, że kobieta milknie coraz częściej — im więcej interesuje mnie szczegółów. W końcu — gdy pytam o imię wnuka — zamyśla się, nieruchomieje przy stole; jej spojrzenie zatrzymuje się gdzieś ponad dachem kamienicy naprzeciw, za oknem, żywe oczy pokrywają się mgiełką... Wychodzę, zostawiając ją przy stole z głową podpartą ręką, zapatrzoną — nie odległą jeszcze przeszłość? A może — raczej — w przyszłość tych, którzy dopiero rosną?

Znowu krzywy zaułek, zalany marcowym słońcem. Na dziedzińcu przytułku naprzeciw Poczty, wśród drzew, które pamiętają jeszcze wrzesień 1939, chłopcy bawią się w wojnę. Któryś paraduje z metalowym, sklepowym koszykiem na głowie zamiast hełmu. Inny, w żółtej czapce, krzyczy po niemiecku: „Ręce do góry!" — i terkocze przeraźliwie chińskim automatem.

OPOWIEŚĆ DRUGA

Przez rok niecały z grobem *Kazimierza Stojeckiego* sąsiadował grób *Bogdana Sypki*. Zapamiętała ten fakt pani *Gertruda* i to otworzyło mi drzwi jej domu.

Matka *Bogdana* mieszka w Sopocie, byłem tam, nim trafiłem na Sierocą. Mogłem więc — z czystym sumieniem — powołać się na rozmowę z nią. To właśnie pomogło...

Sypka zginął tego samego dnia i w tej samej okolicy, co *Stojecki*. Miał 20 lat.

Nie wiedziałem jak przyjmie mnie jego matka; każda z nie zapowiedzianych podróży do rozrzuconych po Trójmieście obcych domów była niewiadomą. Ale przyjęła serdecznie, choć na początku też nie kryła obawy. A może raczej zmęczenia pracą w dusznej, szkolnej kuchni i jeszcze długą jazdą do córki, do Suchomina. I lęku by opowięść o strasznych przeżyciach, znów uruchomienie wspomnienia, nie sprawiły, że serce raz jeszcze tego dnia odmówi posłuszeństwa, jak wcześniej w pracy, gdzie nieomal zemdlała.

Jeszcze jeden pokój cichy, jakby wytłumiony przed odgłosami świata, przyprószony popiołem. Zdaje się, że smutek na stałę zamieszkał w trych scianach. Męski głos jest tu rzadkim gościem, nieczęsto bywa wesoły gwar, jak ten, który odbija się dziś wieczorem w korytarzu — wraz z brzękiem naczyń i „Słońcem Jamajki" — zza sąsiedniej ściany. Twarz syna z portretu rzuca cień na ten pokój. W tym cieniu rozmowa. Nie towarzyszy nam nawet pies... jak tam, na Sierocej. I tylko ten chłopak na ścianie, patrzący na nas zamyślonymi, roztropnymi oczami, i dręczące milczenie, gdy biała chustka w dłoni matki wędruje do oczu. Te przerwy pozwalają mi zapisać dokładnie, tak jak było, słowo po słowie. A każde słowo tak cenne, jak zdobyty okop — usypany z nieufności i lęku przez dziesięć długich lat.

Wtedy, w grudniu, *Bogdan* przyjechał ze Szczecina, gdzie jesienią rozpoczął studia na zootechnice. Po świętach miał jechać do Warszawy. Nic z tego nie wyszło.

— *Mieszkaliśmy jeszcze w Gdańsku-Oruni. Myśmy wyszli do pracy* — opowiada matka — *On został w domu. Gdy wróciliśmy, a on nie nadchodził, mąż powiedział: pewnie go zatrzymali. Wiele było wtedy aresztowań. I tak żeśmy myśleli. Nie wiedzieliśmy, że tego samego dnia popołudniu — nie żył.*

O szczegółach dowiedział się mąż pani *Aleksandry* dopiero 6 stycznia w prokuraturze.

— *To się stało w Gdańsku, na moście Błędnik. Jak milicjanci szli z tarczami od Kartuskiej, z drugiej strony ludzie puszczali na nich rozpędzone samochody. On wyskoczył z jednego i wpadł pod drugi, który właśnie nadjeżdżał. W szpitalu już nie odzyskał przytomności... Tak mówili mężowi w prokuraturze, ale czy to prawda? — nie wiem.*

Tak, to mogła być prawda. Gdy pojawiły się czołgi, jedyną możliwością obrony zdobytych pozycji stało się atakowanie przy pomocy rozpędzonych pojazdów. Zresztą, druga strona też chwytała się tej metody. Np. tego samego dnia około południa pod gmachem KW milicjanci — jak wspomina *Roman Dettlaff* — puścili w tłum karetkę i wóz straży pożarnej (który potem ponoć spalono), a w ścieżkę powstałą za nimi rzucili się z pałkami i petardami.

„Grudzień 1970. Relacje — część I". Ośrodek Prac Społeczno-Zawodowych MKZ „Solidarność", Gdańsk 1981 r.

Od dziesiątej — gdy zaczynał płonąć komitet — w rejonie od Dworca Głównego aż po Hucisko trwała regularna bitwa. *„Kordon milicji zamyka Wały Jagiellońskie w rejonie Huciska* — wspomina inny świadek i uczestnik walk, *Wiesław Urbański. Postaci niby z rycerskich podań, ukryte : tarczami, za nimi gazik strzelający granatami z gazem łzawiącym. Z boku musiało to wyglądać jak ruch wahadła: oni atakują, my uciekamy — zarówno oni jak i my dochodzimy do pewnego punktu — potem my atakujemy, oni uciekają (słychać odgłos uderzeń kamieni o tarczt)...*

A może to właśnie śmierć *Bogdana* opisał anonimowy reporter w oficjalnym kalendarium wypadków, które ukazało się w „Głosie Wybrzeża"? *„Akcja rozgrywa się teraz na ul. Hucisko i ul. Kalinowskiego* — pisze reporter — *Młodzi ludzie podejmują osobliwą i niebezpieczną, jak się okazuje — dla obydwu stron -formę napaści. Zatrzymują samochody ciężarowe, kierowcom nakazują opuszczenie wozu, jeden z młodzieńców siada za kierownicą, rozpędza pojazd, kieruje go ku szpalerowi milicji, wyskakuje z szoferki... Tłum liczący teraz już ponad 10 tysięcy osób* (wg innych źródeł — przeszło 20 tys. — przyp. T. S.), *podniecony walką, wzburzony pierwszymi ofiarami, z tym większą zawziętością atakuje gmach KW..."*

Nie wiem, w każdym razie mogło to wyglądać podobnie. Nie wiem nawet, czy można by to dziś potwierdzić, czy ktoś zapamiętał wysokiego blondyna i czy takich przypadków — tragicznych zbiegów okoliczności — było więcej... Ojcu pokazali wtedy, w prokuraturze zdjęcie, no i poznał go. A już pochowali sami — wspomina matka — na Emaus, za Gdańskiem. — *Podobno był wojskowy ksiądz, — chyba to prawda, skoro tak mówią? Miał wtedy na grobie tylko numer i dopiero w listopadzie następnego roku przenieśliśmy go na cmentarz katolicki w Sopocie. Tu też i my przenieśliśmy się potem z Oruni, żeby mieć bliżej do niego* — kończy matka... Płacze.

Piję w milczeniu herbatę, kobieta ociera łzy

— *Ja zaraz chciałam pod samochód iść, jak się dowiedziałam* — zwierza się cicho. — *Gdyby nie mąż, już bym dawno nie żyła. Tyle lat dziecko chować i po co? Na starość byłoby podporą...*

Nasze spojrzenia spotykają się na oprawionym w ramki portrecie. — *Neich się pan przyjrzy* — mówi pani *Aleksandra* — *jak tak siedzę i płaczę, to mruga do nas oczami...*

Uspokaja się, wstaje i poprawia suche kwiaty w kryształowym wazonie, by opanować drżenie rąk.

— *Jaki był? Zapalony, jak to młody. Stocznia wołała: chodźcie z nami! To, co, taki młody się nie przyłączy? Młody myśli, że cały świat zwojuje. Dużo przecież wtedy młodych zginęło...*

— Dlaczgo wybrał Akademię Rolniczą? Bo lubił zwierzęta. Leczył kotki, ptaszki, pieski... I biednych ludzi lubił, rodziny, gdzie wiele dzieci. Żałował, że biedne... Wie pan, wszyscy narzekali po tej podwyżce...

Pewnie u **Sypków** też, bo przecież nie należeli nigdy do zamożnych. Ojciec **Bogdana** pracował jako rewizor biletowy w PKS, matka — w szkole, gdzie była kucharką przez wiele lat, a dziś ze względu na wiek i zdrowie już tylko pomaga na trzy czwarte etatu. Ojciec **Bogdana** nie doczekał się Pomnika, na którym będzie imię syna. Zmarł półtora roku temu, po operacji.

— *Zmartwienie z powodu syna podziałało na niego* — mówi pani *Aleksandra*. — *Ale gdyby nie poszedł na tę operację, to by jeszcze żył* — podkreśla z siłą. — *Kiedyś płaczę i wymyślam: czemuś tam poszedł! W nocy śni mi się syn i mówi: Mamo, przecież ojciec był taki chory. No i kazał mi nie płakać...* — matka uśmiecha się przez łzy. Ten nikły uśmiech gasi je; kobieta wychodzi do kuchni, a ja myślę o fatum — bo jak to inaczej nazwać? — które zawisło nad tą rodziną, nad jej męską linią... Bo przecież — oprócz ojca i syna — nie żyje już także zięć — mąż *Barbary*, starszej siostry *Bogdana*. Zginął w wypadku budowlanym na Węgrzech. Zostawił dwoje dzieci i żonę. Do nich to właśnie jeździ do Suchomina pani *Aleksandra*. Tak samo było tego wieczoru, gdy długo czekałem na nią na schodach klatki. Ale miałem szczęście, bo choć córka usilnie namawiała do pozostania u niej na noc, matka wróciła do mieszkania w Sopocie, gdzie żyje samtnie. I stąd ta opowieść.

Uderzyły mnie rysy pani *Aleksandry*: łagodne, miękkie, jakby nieco wschodnie. I włosy, zaczesane do tyłu, spięte nad karkiem, z przedziałkiem pośrodku... Jednym słowem babuszka z rosyjskich książek dla dzieci...

— *Mój ojciec był Rosjaninem* — potakuje gospodyni — *a matka Polką*. W naszej rozmowie pojawia się pogodniejszy ton. Rodzinna prehistoria jest nie mniej ciekawa, zwłaszcza że zaraz odżyją znane i bliskie mi miejsca, w opowieść wplecie się wątek Łodzi.

Najpierw była romantyczna miłość polskiej sanitariuszki do carskiego oficera: — *Ojciec mój był pod Łodzią raniony* — podkreśla pani *Aleksandra*. — *Z tej miłości urodził się starszy brat. Było to w 1918 roku. Wkrótce matka wyjechała do Rosji, do Leningradu, tam wzięli ślub (wcześniej on przeszedł na katolicyzm), tam urodziła się siostra, ja i najmłodszy brat. Tam też byliśmy chrzczeni, chodziliśmy do polskiej szkoły. Ojciec pracował jako buchalter. Ale matka coraz bardziej tęskniła do kraju. Długo jednak odwlekała powrót, aż w końcu wróciła — razem z nami — a później miał przyjechać ojciec. Ale jakoś nie chciał go wypuścić... My w 1936 roku znaleźliśmy się w Łodzi. Spędziliśmy tu okupację.*

Po wojnie *Aleksandra—Maria* wyjechała do Gdańska, gdzie poznała męża. Teraz, może to wynik rozżalenia, jakby żałuje tamtej decyzji (— *Może chłopak by nie zginął?* — mówi). Wspomina stare kąty, choćby Żabieniec, gdzie mieszkała i gdzie po latach zmieniło się nie do poznania. Co roku zresztą odwiedza Łódź, ma tu trochę koleżanek, a kuzynki z Łodzi były nawet w Gdańsku na odsłonięciu Pomnika...

Z obchodów dziesiątej rocznicy utkwiła pani *Aleksandrze* mocno w pamięci konferencja prasowa z rodzinami zabitych. — *Tam ludzie opowiadali i płakali okropnie. Ja nic nie mogłam powiedzieć, nic, tylko łzy leciały. A dziennikarze zaraz podbiegali, podstawiali mikrofon...* — śmieje się i nagle jakby otrząsa ze złych wspomnień, mówi pół żartem:

— *Jeszcze za ten artykuł to wsadzą i pana i mnie...*

TOMASZ SOLDENHOFF

GOSPODARKA

Dalszy ciąg ze str. 1

formacji, którymu posłużyłem się opracowując ten artykuł były rozmowy, a właściwie dyskusje z kadrą kierowniczą wybranych przedsiębiorstw. Poglądy, opinie i odczucia menedżerów naszego przemysłu są ważnym i cennym materiałem do przemyśleń na temat szczegółowych rozwiązań w zakresie systemu ekonomiczno-finansowego przedsiębiorstw socjalistycznych. W tym miejscu przychodzi refleksja, że zasadniczym kluczem służącym do skonstruowania logicznego i realistycznego systemu funkcjonowania przedsiębiorstwa powinny być projekty opracowane przez wybitnych naukowców i praktyków — kierowników organizacji gospodarczych. Udział tych ostatnich jest nieodzowny, gdyż to właściwie oni przy pomocy załóg będą wcielać w życie założenia reformy w przedsiębiorstwach. **Z tego punktu widzenia niedostateczna jest reprezentacja kadry kierowniczej przedsiębiorstw w składzie komisji ekspertów ds. reformy gospodarczej.** Niepokoi natomiast bardzo liczny udział przedstawicieli centralnych władz gospodarczych z istoty swej nieprzychylnych szerokiej samodzielności przedsiębiorstw i daleko idącej demokratyzacji stosunków ekonomicznych.

* * *

Spośród wielu ważkich problemów dotyczących funkcjonowania przedsiębiorstwa w obecnych warunkach społeczno-ekonomicznych wybrałem następujące: zakres samodzielności przedsiębiorstwa w kontekście „małej reformy", kooperacja, ceny, płace i samorządność pracowniczą.

1.

W opinii dyrektorów badanych jednostek gospodarczych Uchwała 118 R.M. (tzw. mała reforma) nie spowodowała zadowalającego rozszerzenia zakresu samodzielności ekonomicznej przedsiębiorstwa. Można sformułować konkluzję, że **mała reforma rozczarowała kadrę kierowniczą, która oczekiwała bardziej radykalnych i konsekwentnych zmian w tradycyjnym systemie zarządzania gospodarką.** Z jednej strony ograniczono pakiet wskaźników dyrektywnych i limitów oraz wprowadzono zasadę oddolnego planowania, z drugiej zaś utrzymano istniejącą zależność służbową dyrektora przedsiębiorstwa od zjednoczenia i cały bagaż zbędnych resortowych przepisów stanowiących tzw. powielaczowe prawo. Oprócz zjednoczenia i branżowego ministerstwa w działalność przedsiębiorstwa ingeruje także Komisja Planowania, prezydium rządu, władze partyjne wszystkich szczebli, banki, biura dochodów państwa ustalające wspólnie z Ministerstwem Finansów nowe rodzaje podatków, Najwyższa Izba Kontroli z jej oddziałami i branżowymi zespołami, resort energetyki i komunikacji, służba ochrony środowiska, Ministerstwo Łączności (określające np. limit telefonów służbowych) etc.

Przedsiębiorstwo poddane tak różnorodnej presji nie może w sposób elastyczny i racjonalny gospodarować swoimi zasobami oraz skutecznie realizować ciągle rosnących potrzeb załogi. Brak kompetencji dyrektora w zakresie wielu spraw produkcyjno-socjalnych stwarza określone napięcia w zakładzie, obniża autorytet kadry kierowniczej i utrudnia efektywne kierowanie przedsiębiorstwem. Mała reforma nie zlikwidowała stanu ubezwłasnowolnienia przedsiębiorstwa w dziedzinie dysponowania środkami dewizowymi z tytułu eksportu oraz podejmowania skromnych inwestycji modernizacyjnych. **Ścisłe scentralizowanie decyzji dotyczących tych kwestii na szczeblu zjednoczenia i ministerstwa uniemożliwia częstokroć przedsiębiorstwu i całej gospodarce osiągnięcie niebagatelnych korzyści ekonomicznych płynących ze skromnego importu części zamiennych, podzespołów bądź z niewielkich inwestycji podnoszących nowoczesność istniejącego aparatu wytwórczego.** Problem owych inwestycji jest szczególnie palący w tych przedsiębiorstwach, w których występuje dość znaczny stopień dekapitalizacji maszyn i urządzeń. Stawia to pod znakiem zapytania możliwości osiągnięcia postępu ekonomicznego w zakładach dotkniętych wysoką dekapitalizacją majątku trwałego.

Z punktu widzenia zakresu samodzielności przedsiębiorstwa najistotniejsze znaczenie mają formy i charakter jego podporządkowania organom administracji gospodarczej. W tym kontekście wyłania się **kwestia racji istnienia zjednoczeń branżowych.** Poglądy moich rozmówców w tej materii można podzielić na dwie podstawowe grupy. W pierwszej mieszczą się poglądy negujące sens istnienia zjednoczeń obligatoryjnych, czego dobitnym dowodem jest stwierdzenie jednego z dyrektorów reprezentującego przemysł lekki, iż „przedsiębiorstwa są potrzebne zjednoczeniom, a nie odwrotnie". Drugą grupę stanowią poglądy w myśl, których zjednoczenia powinny porzucić dotychczasowe funkcje biurokratyczno-dyrygujące i zająć się doradztwem ekonomicznym, sprawami koordynacji działalności przedsiębiorstw w dziedzinie inwestycji, postępu technicznego i gospodarki materiałowej. Zwolennicy tego stanowiska uważają, że istnieje uzasadniona potrzeba zachowania instytucji zjednoczeń w tych branżach, w których przeważają małe i średnie przedsiębiorstwa oraz występują silnie rozwinięte więzi kooperacyjne. Krótko mówiąc zjednoczenie zamiast roli strażnika przedsiębiorstwa powinno grać rolę sługi i doradcy zarazem.

Doświadczenie uczy, że walka z biurokratyczno-administracyjnymi strukturami w naszej gospodarce trąci donkiszoterią. Dotychczasowe próby przebudowy administracji gospodarczej kończyły się z reguły wzmocnieniem, a nie osłabieniem jej pozycji i destrukcyjnego oddziaływania na procesy planowania i zarządzania. W tej walce skuteczna może być taktyka „faktów dokonanych". Zastosował ją Kombinat

PRZEDSIĘBIORSTWA W OBLICZU REFORMY

Maszyn Budowlanych „Bumar — Warszawa", który wychodząc naprzeciw założeniom reformy gospodarczej, oraz spełniając wolę załóg wszystkich zakładów zgrupowanych w kombinacie, wziął rozbrat ze zjednoczeniem. Śmiała decyzja kierownictwa kombinatu stanowi spontaniczną realizację 24 punktu rządowego projektu reformy gospodarczej, który brzmi następująco: „należy dążyć do ograniczenia pośrednich szczebli planowania i zarządzania oraz do dostosowywania organizacji do specyficznych właściwości technologicznych i ekonomicznych". Koronnym argumentem „buntowników" jest to, że zjednoczenie nie pomaga podległym przedsiębiorstwom, lecz zdecydowanie hamuje ich inicjatywy i ogranicza swobodę działania, a także stosuje metodę pozornych działań w zakresie poprawy efektywności gospodarowania w branży. Warto zaznaczyć, że roczny koszt utrzymania omawianego zjednoczenia wynosi ok. 6 mln zł.

Wydaje się, iż przykład kombinatu „Bumar" można uznać za godny upowszechnienia w szerszej skali. Oddolne działania zmierzające do przełamywania zbędnych struktur administracji gospodarczej są bardzo cenną inicjatywą, gdyż trudno wyobrazić sobie, aby zjednoczenie i ministerstwa z własnej, nieprzymuszonej woli dokonały aktu samounicestwienia. Oczywiście każde tego typu działanie powinno wynikać z racjonalnych przesłanek i dobrego rozpoznania ekonomicznej sytuacji określonego przedsiębiorstwa. W związku z tym nie należy zalecać wystąpienia ze zjednoczenia przedsiębiorstwom, które posiadają słabą pozycję ekonomiczną i egzystują dzięki dotacjom. Patrząc na tę sprawę realnie naiwnością byłoby oczekiwać, że proces oddolnego demontowania zjednoczeń przybierze charakter masowy. **Odważni innowatorzy stanowią zwykle w takich działaniach zdecydowaną mniejszość, dominują natomiast konformiści.**

2.

Źródłem wielkiego niepokoju w przedsiębiorstwach są problemy zaopatrzenia materiałowego i funkcjonowania więzi kooperacyjnych w gospodarce. Bez cienia przesady można stwierdzić, że przedsiębiorstwa znalazły się w matni powiązań kooperacyjnych i deficytów materiałowych. Na czym polega ten stan? Otóż mała reforma przyznała przedsiębiorstwom limity na podstawowe materiały i surowce niezbędne do realizacji zadań dyrektywnych. Przyznanie limitu nie oznacza jednak otrzymania przez przedsiębiorstwa rzeczywistych środków do dyspozycji, do wykorzystania w procesach wytwórczych. Limit pozostaje częstokroć papierową fikcją. Dla przykładu przedsiębiorstwa budownictwa mieszkaniowego posiadają limity cementu, stali i energii, których realizacja napotyka różne przeszkody. Wiadomo, że przemysł cementowy boryka się z olbrzymimi trudnościami, co uniemożliwia pokrycie zapotrzebowania budownictwa na cement. Oprócz wymienionych wyżej materiałów występują jeszcze tzw. materiały pochodne, niezbilansowane centralnie. Na ich dostawę poszczególne przedsiębiorstwa powinny zawierać umowy bezpośrednio z producentem, albo centralami zaopatrzeniowymi. Paradoksem jest, iż w lutym br. żadne z badanych przeze mnie przedsiębiorstw nie zawarło jeszcze takich umów, ponieważ centrale nie posiadają zbilansowanych dostaw materiałów i nie mogą określić swoich możliwości zaopatrzeniowych.

Perturbacje zaopatrzeniowo-kooperacyjne stwarzają wielkie zagrożenie dla realizacji planów produkcyjnych samodzielnie zbudowanych przez przedsiębiorstwa. Zmusza to je do uprawiania handlu wymiennego: rzecz za rzecz. W ramach tej wymiany można otrzymać drogocenne surowce, bądź części zamienne nie znajdujące się w oficjalnych rozdzielnikach. Trudności zaopatrzeniowe wywołują negatywne konsekwencje, do których zaliczyć trzeba przede wszystkim zjawisko „chomikowania" materiałów i surowców. Charakterystyczne jest, że im ostrzejszy deficyt, tym większa skłonność do utrzymywania w przedsiębiorstwie zbędnych zapasów środków produkcji. W rezultacie ów deficyt ulega dalszemu pogłębianiu. Poza tym należy pamiętać, że wspomniane transakcje wymienne są korzystne dla zakładów, które mogą zaoferować swoim kontrahentom atrakcyjne surowce lub wyroby gotowe. Dlatego też w sytuacji uprzywilejowanej znajdują się przykładowo producenci wyrobów spożywczych, cementu, akumulatorów, wagonów, kopalnie węgla itp.

W warunkach rozgardiaszu kooperacyjnego łamane są wszelkie przepisy prawne i nie skutkują sankcje ekonomiczne w postaci kar umownych. Bardzo często przedsiębiorstwa nie dochodzą swoich roszczeń z tytułu niedotrzymania umowy przez kooperanta — monopolistę, gdyż obawiają się jego kontrakcji polegającej z reguły na dyskryminowaniu przyszłych zamówień „niegrzecznego" odbiorcy. Reakcją obronną przedsiębiorstw są działania polegające na poszukiwaniu nieformalnych sposobów pozyskania deficytowych środków produkcji, co wytwarza w naszej gospodarce niezdrowe obyczaje, które trudno będzie wyplenić i zastąpić je regułami ekonomicznymi.

Kłopoty kooperacyjne i zaopatrzeniowe wymagają pilnego rozwiązania. W przekonaniu większości moich rozmówców istniejący obecnie model, a właściwie antymodel kooperacji może poważnie zaszkodzić sprawie reformy gospodarczej i zahamować jej wprowadzenie w życie. Obawy te są w pełni uzasadnione, ale należy je opatrzyć krótkim komentarzem. Wydaje się, iż sedno problemu tkwi w rozwiązaniach systemowych, które spowodowały stan chronicznych zakłóceń kooperacyjnych Wobec tego przecięcie węzła gordyjskiego kooperacji może być skutecznie dokonane poprzez wprowadzenie reformy gospodarczej. W okresie poprzedzającym reformę należy maksymalnie szybko i zdecydowanie uporządkować powiązania kooperacyjne w celu likwidacji najbardziej oczywistych absurdów i mankamentów.

3.

Kolejnym problemem, który nurtuje kadrę kierowniczą przedsiębiorstw są rozwiązania w zakresie systemu cen i płac. Stanowią one dwa podstawowe instrumenty zarządzania zajmujące poczesne miejsce w projekcie reformy gospodarczej. Zgodnie z założeniami reformy należy zracjonalizować poziom i strukturę cen oraz uzależnić fundusz wynagrodzeń przedsiębiorstwa od efektów ekonomicznych wyrażonych w formie dochodu.

Dotychczasowy system cen charakteryzuje brak wewnętrznej logiki i porządku. Ceny dóbr zaopatrzeniowych i wyrobów finalnych nie odzwierciedlają ani kosztów produkcji, ani cen światowych. Oznacza to fikcyjność rachunku ekonomicznego i zaciemnia skuteczność decyzji przedsiębiorstw, które nie wiedzą co ile kosztuje. Wadliwość systemu cen powoduje, że:

— najbardziej opłaca się inwestować w rozwój tych zakładów, które produkują dobra finalne, a najlepiej tych, które montują części i podzespoły gdyż relatywnie niewielkie nakłady dają tu olbrzymie efekty; liczy się przecież nade wszystko wartość końcowego efektu,

— brak jest bodźców do oszczędzania surowców i materiałów (np. węgiel, wyroby hutnicze są zbyt tanie w stosunku do kosztów),

— nieopłacalna jest produkcja niektórych wyrobów dla odbiorców krajowych, gdyż krajowa cena zbytu jest niższa od ceny realizacji w eksporcie,

— mamy do czynienia z przedsiębiorstwami, dla których a priori przewidziane są dotacje, przy czym deficytowość ich produkcji nie wynika na ogół ze złej pracy, lecz z faktu, że rosnącym cenom zaopatrzeniowym towarzyszy stałość cen wyrobów gotowych (np. większość przetworów owocowo-warzywnych).

Wśród praktyków przemysłu panuje opinia, że **bez gruntownej reformy cen zaopatrzeniowych i cen detalicznych reforma gospodarcza nie ma sensu.** Ceny materiałów i surowców powinny, ich zdaniem pozostawać w odpowiedniej relacji do cen na rynkach światowych, zaś cena produktu gotowego powinna odzwierciedlać także krajowe koszty produkcji.

W centrum zainteresowania dyrekcji i załóg przedsiębiorstw znajdują się problemy płacowe, od rozwiązania których zależy bardzo często atmosfera pracy. Uchwała nr 118 zwiększyła możliwości swobodnego dysponowania przez przedsiębiorstwo funduszem wynagrodzeń. Wysokość funduszu płac powiązana jest z miernikiem wartości produkcji netto, przy czym wzrost tego miernika w porównaniu z tzw. rokiem bazowym skorygowany jest przez wskaźnik 0,3, który został narzucony odgórnie wszystkim przedsiębiorstwom bez względu na branżę. Oznacza to, że na 1 proc. przyrostu produkcji netto przypada 0,3 proc. przyrostu funduszu płac. Wskaźnik ów powinien być dostosowany do warunków poszczególnych jednostek gospodarczych. Dla wielu przedsiębiorstw wskaźnik ten w br. jest niewystarczający. W przedsiębiorstwach tych niezmiernie trudne będzie osiągnięcie wzrostu produkcji netto chociażby o 1 proc. Może się nawet zdarzyć, że funduszu płac starczy tylko na trzy kwartały. Kierownictwo przedsiębiorstwa stanie wówczas przed poważnym dylematem płacowym.

Odrębny rozdział polityki płacowej stanowią przeprowadzone pod wpływem silnej presji społecznej **pochopne regulacje stawek płacowych.** W niektórych dziedzinach gospodarki jeszcze przed falą sierpniowych strajków prominenci resortowi czynili wysiłki, aby złagodzić pierwsze objawy niezadowolenia klasy robotniczej. Zgodnie z dotychczasowymi scenariuszami działania w przypadku protestów robotników oferowano im podwyżki płac. W ten sposób powstały nieuzasadnione kryteriami ekonomicznymi różnice i niwelacje w taryfikatorach płacowych. Decyzji tych nie można już cofnąć, ale **należy zdawać sobie sprawę z ich destrukcyjnego wpływu na system wynagrodzeń, proporcje płacowe w przekroju międzygałęziowym i sytuację rynkową.**

Istotnym czynnikiem oddziałującym na rozwiązania płacowe jest również skrócenie czasu pracy. W oparciu o uzyskane w przedsiębiorstwie informacje mogę stwierdzić, iż **skrócenie tego czasu spowodowało konieczność podniesienia stawek płacowych o ok. 10 proc. na 1 godzinę pracy.** Z tego względu nastąpi zwiększenie funduszu płac przedsiębiorstw w porówna-

RELACJE

JERZY KATARASIŃSKI

ZDARZYŁO SIĘ W OTWOCKU

1.

Przyjechałem do Otwocka w niedzielę, 10 maja, a więc już po wszystkim, wiedząc o wydarzeniach na dworcu tyle, ile wiedziała o nich cała Polska po relacjach telewizyjnych, których dramatyczne tło zbulwersowało cały kraj. Pojechałem tam, bo ciągle nie mogłem zrozumieć dlaczego stało się to, co się stało. Uszeregowane fakty, wycinkowe opowieści, przedstawiają z grubsza przebieg zdarzeń, ale nie tłumaczą motywów, które pchnęły — tłum? — chuligańskie grupy? — pojedynczych osobników? (to ostatnie byłoby łatwiejsze do wytłumaczenia) do tak gwałtownej reakcji na banalny, wydawałoby się, incydent. Na dworcu było spokojnie, snuły się jeszcze grupki gapiów, popatrujących ze zdumieniem, tak, ze zdumieniem, na żałosne, wypalone kikuty budyneczku stojącego za torami, ale tuż przy nich. Tuż obok osmalone, bezlistne drzewo, które musi pójść pod siekierę; nie przeżyje ludzkiej, zapiekłej złości, która zwarzyła je u progu lata. Po peronie spokojnie, ale czujnie, przechadzają się dyżurne dwójki straży „Solidarności" z opaskami na rękawach.

— *Stan napięcia najwyraźniej minął* — powie wieczorem, podczas zorganizowanej ad hoc konferencji prasowej, *Ryszard Tymosiak*, przewodniczący „Solidarności Otwockiej". — *Nasze służby porządkowe patrolują teren dworca PKP, perony oraz rejon pogorzeliska*

Krótkie przypomnienie przebiegu zajść. W czwartek, 7 maja około godziny 16, dwu pijanych, czy podpitych mężczyzn, *Władysław M.*, lat 26, z Otwocka i *Sławomir G.*, lat 19, ze Świdra (obaj karani wcześniej za chuligaństwo), wywołało awanturę na dworcu. Tło tej awantury nie jest jeszcze całkiem jasne (trzy paczki papierosów?), w każdym razie w pewnej chwili mężczyźni ci poczęli obrzucać kamieniami budyneczek, w tym i jego okna, posterunku kolejowego MO. Doszło do interwencji milicjanta, przeprowadzonej przy pomocy dwu innych mężczyzn, w tym jednego członka ORMO. „*Doszło do interwencji milicjantów. Interwencja została przeprowadzona w sposób brutalny i w jej wyniku osoby zatrzymane doznały obrażeń. Zgodnie z ustaleniami „Solidarności" obrażenia te mają charakter powierzchowny*" (z oświadczenia „Solidarności" — Mazowsze). „*Na czym waszym zdaniem zasadzała się brutalność akcji milicji? Gdy ktoś rzuca kamieniami, trudno o pieszczoty... — Człowiek, jeden z tych zatrzymanych, miał rękę w gipsie, a więc był w pewnym sensie kaleką. Bić takiego człowieka? Gdy go przywieźli ze szpitala, nie mógł się z wyczerpania utrzymać na nogach. A zresztą, — jeden z interweniujących cywilów, ormowiec, sam był po wódce, do czego zresztą przyznał się w naszej obecności.*" (Z konferencji „Solidarności" w Otwocku).

Wokół posterunku, do którego zostali wreszcie wprowadzeni dwaj awanturnicy, zaczęli się gromadzić obserwatorzy zajścia. Tłum rósł. Pech chciał, że nadjechał jeszcze pociąg z Warszawy, z którego wysypało się sporo ludzi. Aresztowani zaczęli wykrzykiwać, że są bici, torturowani. Tłum począł żądać ich uwolnienia. Do tych, którzy stali dalej, zaczęły docierać nieprawdopodobne wieści. Oderwane od faktycznego przebiegu zdarzeń będą krążyć jeszcze następnego dnia. „*Słyszę szum ludzi — że jeden z chłopców nie żyje*"; „*Zabili go, umarł, tak go tłukli. A ten drugi leży w szpitalu bez oka. — A to jest pewne? — No pewno. Przytomny był, ale był pobity cały, kurczę, jeden całe oczy ma porozbijane*" (z relacji Tv).

Przyjeżdża pogotowie, jeden z zatrzymanych (starszy, z ręką w gipsie), przewieziony zostaje do szpitala w Warszawie, młodszy do aresztu Komendy MO w Otwocku. Tłum na dworcu nie rzednie także w nocy, domaga się uwolnienia zatrzymanych. Nie pomaga interwencja miejscowego proboszcza, tłum grozi podpaleniem posterunku. Tymczasem w Ministerstwie Sprawiedliwości interweniuje „Solidarność" Regionu Mazowsze, proponując — dla zapobieżenia dalszym ekscesom — czasowe uwolnienie zatrzymanych. Ludzie z „Solidarności Otwockiej" są na miejscu. „*Był taki moment, że budynek był zupełnie oblany benzyną lub naftą i były okrzyki — przedstawiciele „Solidarności" wyjść, bo podpalamy. Mimo to jeszcze zostaliśmy*". O trzeciej w nocy (z czwartku na piątek) przybyli z Warszawy przedstawiciele „Mazowsza", próbując uspokoić wzburzone miasto. Przywiezieni zostają po pewnym czasie niechlubni bohaterowie zdarzeń: można zobaczyć, że żyją.

Nie był to jeszcze jednak koniec zajść. W piątek, 8 bm. ok. 17, budynek posterunku zostaje podpalony. Przyjeżdża straż, gasi, ponownie zostaje wezwana po 19: znów podpalenie. Tym razem skuteczne. W sobotę, jakby jeszcze i tego było mało, płonie zaparkowany nieopodal barakowóz. Wtedy właśnie „Solidarność" decyduje się powołać straż porządkową.

Oto fakty, które muszą wywołać osłupienie, potępienie, zgrozę. „*MKZ Regionu Mazowsze przestrzega społeczeństwo regionu przed ulegani nastrojom emocji. Wydarzenia w Otwocku są przykładem niedopuszczalnego łamania prawa przez demonstrujący tłum. Atmosfera samosądu i linczu, która towarzyszyła demonstracji przed komisariatem umożliwiła przyłączenie się osób pijanych*" (Z oświadczenia „Solidarności").

2.

Otwock, byle miasto powiatowe, pod Warszawą, przy linii kolejowej Warszawa — Lublin. Miasto-uzdrowisko (lasy sosnowe, suche piaski, mikroklimat korzystny dla leczenia chorób płuc), bez statusu, a za tym — i bez przywile-

niu z poprzednim rokiem. Jednocześnie zgodnie z wcześniejszym wnioskiem w wielu przedsiębiorstwach brak jest przesłanek poprawy efektów ekonomicznych. W szczególnie skomplikowanej sytuacji finansowej znajdą się przedsiębiorstwa, których warunki gospodarowania wyznaczone są przez splot następujących czynników: obniżenie w porównaniu z rokiem ubiegłym przydziału materiałów i surowców, wzrost płac pracowników i podatku od wynagrodzeń, zlikwidowanie jednej (nocnej) zmiany, niezmienność cen wytwarzanych produktów. Ta krótka charakterystyka uwarunkowań działalności przedsiębiorstwa skłania do konkluzji, że niezbędne jest wprowadzenie do naszej praktyki instytucji funduszu gwarantowanych płac oraz specjalnych kredytów interwencyjnych. Zapobiegałyby one spadkowi płac w przypadku pogorszenia się wyników ekonomicznych przedsiębiorstwa.

4.

W istniejącej obecnie w Polsce sytuacji społeczno-gospodarczej niezmiernie istotną sprawą jest wyzwolenie twórczych sił wszystkich pracujących. Możliwe jest to poprzez autentyczny udział załóg w zarządzaniu wraz z prawem decyzji o podziale pochodu pozostającego w przedsiębiorstwie. Samorząd pracowniczy jest podstawową siłą umożliwiającą racjonalne wykorzystanie nagromadzonego w gospodarce potencjału i tym samym budowę solidnego gmachu gospodarki narodowej.

Na podstawie obserwacji poczynionych w kilku przedsiębiorstwach wyłania się z grubsza zarysowany obraz samorządności pracowniczej. Można z pełną odpowiedzialnością stwierdzić, że w tej dziedzinie życie wyprzedziło formalne rozwiązania instytucjonalne. W wielu zakładach pracy zrezygnowano z Konferencji Samorządu Robotniczego jako skompromitowanej formy samorządności, na rzecz tzw. tymczasowych rad pracowniczych. Tego rodzaju ciało powstało na przykład w Fabryce Maszyn Jedwabniczych „Majed" w Łodzi. Rada ta wyłoniona w tajnym głosowaniu liczy 110 osób — przedstawicieli załogi i 15 osób stanowiących prezydium. W składzie rady znajdują się także reprezentanci związków zawodowych i organizacji politycznych. Wedle opinii dyrektorów tej fabryki współpraca między tymczasową radą pracowniczą, a kadrą kierowniczą przebiega pozytywnie i rokuje duże nadzieje na jej utrwalenie w dalszej prespektywie. Doświadczenia zdobyte na polu tworzenia rad pracowniczych w oparciu o oddolne, spontaniczne działanie posiadać będą nieocenione znaczenie w procesie urzeczywistniania przygotowanej i żywo dyskutowanej ustawy o samorządności załogi. Szczególnie cenny kapitał stanowią konkretne projekty funkcjonowania samorządu załogi opracowywane samorzutnie przez zespoły zakładowe. Wiadomo, że ustawa o samorządzie nie ureguluje na drodze prawnej wszystkich subtelności związanych z funkcjonowaniem samorządu załogi, zwłaszcza w aspekcie jego stosunków z dyrekcją. W tej właśnie dziedzinie bardzo przydatne będą konkretne ustalenia wypracowane przez załogi przedsiębiorstw.

Z przedstawionych wyżej fragmentarycznych zaledwie rozważeń wynika, że przedsiębiorstwa dotknięte są w całej pełni warunkami gospodarowania, jakie wytworzył przestrzały nakazowo — rozdzielczy system ekonomiczny i słabnący rytm aktywności produkcyjnej gospodarki narodowej, tak odczuwalny w okresie ostatnich kilku miesięcy. Wielką szansą dla odwrócenia niekorzystnych tendencji występujących w przedsiębiorstwach jest przemyślana i konsekwentna reforma gospodarcza Wniesie ona do systemu przedsiębiorstwa nowe reguły gry ekonomicznej, których istotą jest ogólna zasada: większa samodzielność oznacza większą odpowiedzialność kadr kierowniczych i samorządu pracowniczego za los powierzonej im cząstki majątku produkcyjnego Wprowadzenie tej zasady do praktyki gospodarczej postawi przed kierownictwem przedsiębiorstw nowe zadania i zrodzi konieczność daleko idących zmian w dotychczasowych stereotypach myślenia i stylu działania polskich menedżerów Z przeprowadzonego przeze mnie sondażu wśród dyrektorów kilku przedsiębiorstw wypływa wniosek, iż są oni przygotowani do podjęcia wyzwań, jakie rzuci im reforma. **Świadomość nieuchronności reformy może być poważnym psychologicznym atutem kadr kierowniczych i załóg w fazie jej realizacji.**

WITOLD KASPERKIEWICZ

---

jów uzdrowiska, o które miejscowe władze starają się od 11 lat. Miasto-sypialnia, bez przemysłu. Miasto-wieś, bez podstawowych urządzeń kulturalnych: na 50—60 tys. mieszkańców przypada 1 kino, sala teatralna grożąca zawaleniem, młodzieżowy dom kultury (dla młodzieży szkolnej), dom rzemiosła niewielki, dla rzemieślników). Miasto-stacja przesiadkowa do pobliskich miejscowości. I wreszcie miasto-miejsce zsyłki dla niejednej rodziny, która psuła kiedyś społeczny krajobraz stolicy. Ot — wynik szczególnej polityki społecznej... W okolicy domy poprawcze, domy dziecka, ale w samym Otwocku ani jednej szkoły specjalnej, choć sporo tu dzieci upośledzonych umysłowo. Była taka szkoła, ale została zlikwidowana: w efekcie dzieci te uczą się w szkołach normalnych. Taki to obraz. Czy wyjątkowy? Otwoczanie mają za złe, kiedy wypomina im się opinię, na jaką zarobiło miasto. Mają za złe reporterom telewizji, którzy relacjonując wydarzenia sprzed kilku dni, kierowali kamery przede wszystkim na bełkocących, pijanych osobników, tak, jakby w tłumie oblegających stację byli sami pijani, jakby całe miasto było pijane. — Takich miast, miasteczek, jest w Polsce wiele — mówią w Otwocku. Że to zdarzyło się właśnie tu, to przypadek; mogło się zdarzyć i gdzie indziej. Tak, to prawda. Bronią się otwoczanie przed opinią, jaką wyrabia im margines społeczny (i ten miejscowy, i ten przejezdny, korzystający ze stacji kolejowej), nie potrafią jednak do końca wyjaśnić, dlaczego na samej już stacji, ci którzy teraz bronią miasta, nie potrafili

Dalszy ciąg na str. 11

Polityka płacowa była i jest jednym z najsłabszych, najbardziej błędnych, najdotkliwej wypaczonych elementów naszego systemu ekonomicznego. Jest dziedziną, w której najwyraziściej chyba przejawiła się społeczna niesprawiedliwość, zrodzona i podtrzymywana przy wydatnym udziale władz centralnych i resortowych. Dochody pieniężne ludności kształtowały się i kształtują ciągle nie tylko w sprzeczności z pryncypiami naszego ustroju, nie tylko na bakier ze sprawiedliwością społeczną, lecz również na przekór logice, nie mówiąc już o racjach ekonomicznych. Woluntaryzm — o którym tak dziś głośno — także i w tej dziedzinie rozkwitł ponad wszelką miarę.

W ostatnich latach doszło nawet do ustanawiania dekretami specjalnych przywilejów płacowych i emerytalnych. Oburzającym przykładem takich praktyk są — spopularyzowane ostatnio — dwa dekrety z 5 października 1972 roku, traktujące o uposażeniu osób, zajmujących kierownicze stanowiska państwowe i polityczne, a także o zaopatrzeniu emerytalnym ich samych, jak i członków ich rodzin. Tymi właśnie aktami prawnymi już u początków *gierkowszczyzny* zadeklarowano całkiem antysocjalistyczne przywileje całym centralnym i dzielnicowym dynastiom *władców* socjalistycznego kraju. Znamienne, że dekretów tych nikt jeszcze nie uchylił, dzięki czemu skompromitowani, odpowiedzialni za zrujnowanie naszego kraju ludzie mogą pobierać miesiąc w miesiąc apanaże równe kilku czy kilkunastu poborom przeciętnych obywateli Polski!

Zło nie zrodziło się jednak w minionej dekadzie. Sięga korzeniami znacznie wcześniej. W lata, w których ówcześni *przywódcy* PRL uznali, że — na przykład — nie należy *preferować* pod względem płacowym takich *„nieprodukcyjnych"* działów jak kultura, oświata czy służba zdrowia, wyrokując równocześnie, że inżynier nie ma prawa zarabiać więcej, niż niewykwalifikowana *siła od łopaty*, zaś prządce zarobek powinien wystarczyć ledwie na przeżycie.

Nie bez powodu wytykało się „gomułkowszczyźnie" jej zdecydowanie antyinteligencki kurs. Nie bez powodu stwierdza się, że i „gierkowszczyzna" nie wniosła — wbrew sloganom i zapewnieniom — istotniejszych zmian w tym względzie.

Minione dziesięciolecie przyniosło duży wzrost płac nominalnych. Płace realne wzrosły także. Na ile jednak — trzeba będzie uczciwie obliczyć. Wzrost ten, niestety, nie wyrugował niesprawiedliwości, nie uzdrowił systemu płacowego. Wręcz przeciwnie — pogorszył go pod wieloma względami, pogłębiając nieuzasadnione dysproporcje.

Są to truizmy, jak truizmem jest stwierdzenie, że zeszłoroczne podwyżki — wprowadzane od lipca do listopada — niewiele zmieniły na lepsze, wprowadzając do systemu płac jeszcze większy rozgardiasz, rozregulowując go do reszty.

Wiadomo bowiem, że ci, co zawsze byli najgłośniejsi i najsilniejsi — dostali najwięcej. Wiadomo też, że ci, co zawsze byli cisi i słabsi, dostali swoje na końcu.

Uchwała Rady Ministrów nr 81/80 z 6 września 1980 roku — na mocy której wprowadzono, wynikające z Porozumienia Gdańskiego dodatki drożyźniane — zawierała błędną przesłankę, jaka doprowadziła zresztą do nawrotu fali strajków. Uchwała mówiła bowiem o środkach finansowych, przyznawanych poszczególnym resortom na *podwyższenie i poprawę proporcji wynagrodzeń*, zamiast poprzestać na jednoznacznym i uczciwym — *dodatku inflacyjnym*.

Na tę zresztą koncepcję — mniej bądź bardziej skwapliwie — przystały wszystkie resorty, popędzane usilnie w tym kierunku przez panią Milczarek, która swoją nadgorliwością w tej kwestii przypieczętowała ostatecznie utratę stanowiska ministra pracy, płacy i spraw socjalnych.

●

Nawis inflacyjny jest dzisiaj jednym ze straszaków w rękach polityków i ekonomistów. Straszakiem o tyle skutecznym, że już wszyscy daliśmy się wystraszyć, chociaż nie wszystkim nam *nawisa*.

Oficjalne, a i mniej oficjalne wykładnie skłonne są tu kłaść nacisk na nadmiar, ja zaś uważam, że przyczyna zła tkwi głównie w niedoborze. To nie za dużo mamy pieniędzy, lecz za mało towarów. Jeśli zaś ma być inaczej, to zgoda — pod warunkiem jednak, że już dziś przyznamy, iż standard życia w naszym kraju cofnął się na długo do poziomu lat pięćdziesiątych.

Zresztą i odpowiedź na pytanie, czy za mało mamy towarów, nie należy do najprostszych.

Profesor *Kaleta* na łamach *„Polityki"* stwierdził, że stan zapasów wyrobów gotowych w handlu i przemyśle osiągnął zawrotną wielkość 690 mld zł. Co to za towary? Przestarzałe, niemodne, nietrafione — słowem, buble? Nie tylko, bo często są to wyroby z nietrafioną ceną, skalkulowaną stanowczo za wysoko, wbrew jakimkolwiek racjom ekonomicznym i społecznym. Gdyby teraz — z dnia na dzień — obniżyć o połowę cenę wszystkich tych towarów, mogłoby się okazać, że znajdą one jednak nabywców.

●

W ostatnich dyskusjach na temat systemu płac więcej się mawia o podatkach, niż o samych płacach. A zatem — zamiast sprawiedliwych płac planuje nam się na najbliższą przyszłość *sprawiedliwe* podatki. Podatek jako instrument sprawiedliwości społecznej? Absurd. Regulowanie wysokości dochodów za pomocą podatku ograniczać się powinno w naszym systemie jedynie do sektora prywatnego. Oczywiście, chodzi mi tu tylko o te prywatne firmy, które wykraczają poza ramy jednoosobowych czy rodzinnych warsztatów rzemieślniczych, a więc funkcjonują na zasadzie stosunku: pracodawca-pracownik.

My wszyscy bowiem — pracownicy sektora państwowego i spółdzielczego — opodatkowani jesteśmy już w ramach stosunku pracy, za którą otrzymujemy płacę pomniejszoną o wartość — sporą nierzadko — przeznaczoną na spożycie zbiorowe, a więc odprowadzaną przez naszego pracodawcę wprost do skarbu państwa.

JACEK INDELAK

CO KOMU NAWISA

Opodatkowani więc jesteśmy jako producenci, a także jako konsumenci — w sferze rynku, gdzie przychodzi nam płacić za wiele towarów cenę znacznie wyższą od ich społecznych kosztów wytwarzania.

Rzecz jasna, uczestniczymy również w konsumpcji zbiorowej, korzystając zarówno z państwowych dotacji do pewnych grup wyrobów i usług, jak też mając dostęp do różnych bezpłatnych bądź ulgowych świadczeń socjalnych. Sfera ta jednak z roku na rok się kurczy, zaś udział w niej poszczególnych obywateli jest daleki od sprawiedliwości.

Gdyby nawet spożycie zbiorowe było dostatecznie duże i zupełnie sprawiedliwe, w niczym nie zmieni faktu, że stosowanie podatku od wynagrodzeń i innych dochodów pracowników sektora uspołecznionego jest niewątpliwą anomalią w polityce (finansowej) państwa socjalistycznego. Prawdziwym złem natomiast staje się, kiedy służyć ma za jedyną metodę wyrównywania niesprawiedliwych dysproporcji z obniżania nieuzasadnionych *kominów*.

Progresja podatkowa niczego tu nie załatwi. Rozwiązać problem może i musi generalna przebudowa systemu płac i dochodów, wprowadzenie do niego sprawiedliwych relacji i proporcji, które zapewnią każdemu godziwą płacę. Płacę, jaka nie może być ani nieuzasadnienie niska, ani też bezzasadnie wysoka. Płacę — stanowiącą wynik powszechnego stosowania zasady: każdemu według pracy, a więc według kwalifikacji i umiejętności, według ilości i jakości dóbr bądź usług, jakie wytworzył.

Każdemu według pracy, każdemu według zasług. Zasług faktycznych, wymiernych, obiektywnych, a nie uzurpowanych bądź dekretowanych, co czasem na jedno wychodziło.

Każdy ruch społeczny o charakterze rewindykacyjnym wypisuje na swoich transparentach hasła egalitarystyczne. Równość — a ściślej *urawniłowka* — w sferze płac i dochodów może być niebezpieczna. Zwłaszcza w kraju, w którym komunistyczne *każdemu według potrzeb* długo pozostanie w kręgu utopijnych niemal teorii. Lata całe będziemy przedtem musieli pracować nad przywróceniem naszemu państwu prawdziwie socjalistycznego charakteru, nad oczyszczeniem polskiego wydania socjalizmu ze zniekształceń i wypaczeń.

W tym trudnym dziele pozytywną rolę powinna odegrać polityka finansowa państwa, czyniąca z płacy katalizator postępu i rozwoju. W polityce tej nie powinno być nigdy miejsca tak dla nadmiernego zróżnicowania, jak za daleko posuniętego spłaszczenia zarobków.

Polityki takiej nadal jednak nie ma. Coraz za to powszechniejsza jest obawa przed jeszcze głębszym rozregulowaniem systemu płac i dochodów, przed mnożeniem kolejnych błędów i absurdów, a w sumie — przed dalszymi niesprawiedliwościami.

Powtórzmy — każdemu godziwa płaca. Spłaszczanie wynagrodzeń lub okładanie podatkami w tych przypadkach, gdzie większy wysiłek i lepsza praca, stanowiłoby nic innego nad karę, demobilizującą i demoralizującą. Tam natomiast, gdzie wysokość zarobku czy dochodu nie ma żadnego związku z ilością i jakością pracy, z doświadczeniem i kwalifikacjami, z talentami i umiejętnościami — sam podatek też niczego nie rozwiąże, będzie tylko antypedagogiczną represją.

●

W rozważania o polityce finansowej naszego państwa brnie się po omacku, usiłując wyrywkowe dane i strzępy informacji posklejać w obiektywny obraz. Nie jest to zadanie proste nie tylko dla publicysty.

Przypomnijmy: *Państwo nie wie, jak kształtują się dochody ludności.*

Wątpliwości, które na tym tle narosły w społeczeństwie jest ciągle wiele. W ograniczonym też stopniu rozwiały je niedawne wypowiedzi wicepremiera *Rakowskiego* i ministra *Karpiuka*, które na domiar były w niektórych szczegółach sprzeczne.

Państwo nie wie nadal, bo do niedawna wygodniej pewnie było, żeby społeczeństwo nie wiedziało.

Właśnie. W sanacyjnej niedemokratycznej Rzeczypospolitej Polskiej każdy mógł się dowiedzieć bez żadnych sensacji i konferencji prasowych, ile — na przykład — zarabia premier.

W 1936 roku otrzymywał 3000 zł miesięcznego uposażenia oraz drugie tyle dodatku funkcyjnego i służbowego. Minister zarabiał 2000 zł pensji plus 2000 zł dodatków. Wojewoda 1500 plus 1500. Naczelnik wydziału w magistracie szczebla wojewódzkiego 450 zł pensji oraz 200 zł dodatku. I tak dalej, aż po ilość etatów i uposażenia w policji i wojsku.

Skąd obywatel naszego kraju czerpał tego rodzaju wiedzę? Ot, chociażby z wysokonakładowego, popularnego zwłaszcza wśród młodzieży, kalendarza *„Iskier"*, który rokrocznie zamieszczał precyzyjną i wyczerpującą tabelę pt. *„Uposażenie pracowników państwowych"*.

A my? My też wiemy dużo. Ile — na przykład — zarabia oficer gwardii królewskiej w Wielkiej Brytanii. Jakie miesięczne pobory ma pan *Reagan*, Ilu kaprali służy w Bundeswehrze. Jakie dodatki służbowe pobiera sędzia pokoju w hrabstwie Springfield stanu Missourii.

A my? Chcieliśmy — na przykład — wiedzieć, czy prawdą jest że utrzymanie *Piotra Jaroszewicza* kosztuje nasz kraj ponad 100 tys. złotych miesięcznie? Usłyszeliśmy dementi, że były premier nie przeszedł jeszcze na zasłużony wypoczynek, lecz nadal pobiera premierowską pensję. Działa przecież dekret z 1972 roku — jego pewnie współautorstwa. Jak długo będzie mu państwo płaciło? Nie wiadomo. Ile mu płaci? Też na dobrą sprawę — nie wiadomo, bo wyjaśnienia dalekie były od precyzji.

Na pytanie o najwyższe emerytury wspomniano o znanym już rekordzie *artysty sceny polskiej*, który otrzymuje 37 tys. zł miesięcznie. Itd. Itp.

Ludzie jednak uparci, ciągle mają jakieś wątpliwości. Pytają: może nie tylko ZUS wypłaca emerytury i renty? Może nie wszystkie pobory, premie i inne dochody są rejestrowane? Może nadal dokonuje się wypłat z tzw. kamizelki i wręcza koperty z pieniędzmi bez pokwitowania, jak to miało miejsce w przeszłości?

Władysław Machejek, bodaj na łamach „Życia Literackiego", wspomniał o specjalnych kontach bankowych otwartych dla pewnych osób, które mogły czerpać z nich wedle upodobania bez żadnych ograniczeń. I tak oto, kiedy miliony Polaków — pod górkę i z wiatrem w twarz — budowały w kraju socjalizm, owe *pewne osoby* znalazły się już na wyższym etapie rozwoju, korzystając z naszej wspólnej pracy *według potrzeb*.

Ludzie są więc wciąż nieufni, zdają sobie bowiem sprawę z tego, że chociaż wiedzą coraz więcej, do pełnej wiedzy ciągle im daleko. Wciąż jeszcze w sprawach finansowych więcej plotek i legend, niż faktycznej wiedzy. Od czasu do czasu ta czy inna plotka się potwierdza, owa zaś legenda wychodzi z obiegu. Jeśli jednak proces doinformowywania społeczeństwa będzie przebiegał w obecnym tempie, to dopiero około 2000 roku posiądziemy pełną wiedzę o naszych portfelach anno 1980.

Żart na stronę. Dobrze, że obalony został — miejmy nadzieję, na zawsze — mit o przywilejach płacowych i socjalnych Ślązaków i Zagłębiaków. Nikt im nie zazdrości, jak nie zazdrości stoczniowcom i dokerom, chociaż jeszcze we wrześniu strajkująca załoga *„Maltexu"* domagała się ujawnienia wysokości zarobków robotników Wybrzeża.

Rozwiewają się powoli kolejne legendy i mity, którymi oficjalna propaganda usiłowała zastąpić rzetelną informację, a którymi nadal jeszcze wieść gminna żywi się na co dzień z braku dostatecznej wiedzy.

●

Zespół naukowców z Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR opracował jeden z projektów nowego statutu PZPR, w którym można przeczytać:

Zjazd określa każdorazowo górny poziom dochodów i standardu życiowego członków partii, tak aby poziom ten nie przekraczał społecznie akceptowanego maksimum. Członek partii, którego dochody lub standard przekraczają ustalony poziom, obowiązany jest przekazać nadwyżkę na określone przez Zjazd cele społeczne.

Jeden z twórców projektu, doc. *Wójcik*, uzasadniając sens powyższej propozycji, stwierdził:

... Członkom partii wypadałoby prowadzić nieco skromniejszy tryb życia, niż jest on prawnie dozwolony w społeczeństwie. Jest to także kwestia odzyskiwania przez partię społecznej wiarygodności.

Przeraziła mnie — przyznam się — ta koncepcja, która nasuwa obawy, że jej autorzy niewiele zrozumieli z tego, co się w naszym kraju stało. I próbują sięgać lewą ręką do prawego ucha.

Nie, doprawdy nie dlatego partia utraciła wiarygodność, że trzy miliony jej członków żyły bezwstydnie ponad stan, bo przecież spora ich część przedtem klepała i klepie teraz przysłowiową biedę. Partia utraciła wiarygodność, gdyż jej kierownictwo doprowadziło Polskę na skraj przepaści, demoralizując do tego społeczeństwo, w które zaszczepiony został kult złotego cielca.

Partia straciła zaufanie — między innymi — dlatego, że wielu jej członków, zajmujących eksponowane stanowiska, nadużywało ich do osiągania bezzasadnych korzyści osobistych. Kierownictwo partii prowadziło politykę, która stworzyła całe dynastie centralnych i regionych kacyków, traktujących cały nasz kraj, mniejsze i większe jego fragmenty, jak własne folwarki. Właśnie za to — między innymi — usunięci zostali już z partii niektórzy *towarzysze*, zaś wielu innych będzie musiało oddać legitymacje i raz na zawsze porzucić *folwarki*, których powtórnego uspołecznienia domaga się cały naród.

Czy to doprawdy trudno zrozumieć?

Partia jest współodpowiedzialna za dotychczasową politykę finansową państwa. Polityki tej jednak nie uzdrowią przymusowe czy dobrowolne podatki. Uzdrowić ją może tylko i wyłącznie — powtarzam — generalna przebudowa systemu płac i dochodów. I to jest jedna z powinności partii: nadanie kierunku tej przebudowie.

A zatem — nie chodzi o obłożenie podatkiem nadmiernych dochodów, lecz o nie dopuszczanie do tego, aby były one nadmierne i nieuzasadnione.

Pozwalam sobie miejscami na nader poważną tonację, gdyż trawi mnie autentyczny niepokój, który pogłębił się po lekturze *„Założeń reformy gospodarczej"*. Wbrew nadziejom dokument ten nie zapowiada radykalnej przebudowy polityki finansowej państwa, lecz poprzestaje na zasygnalizowaniu skromnych chęci *dalszego doskonalenia systemu płac* oraz znoszenia dysproporcji *odpowiednią polityką podatkową*.

Reforma, prześlizgująca się w taki oto sposób po jednym z najistotniejszych elementów systemu społeczno-ekonomicznego, nie stanie się żadną reformą, lecz pozostanie zbiorem mniej bądź bardziej pobożnych życzeń.

My zaś wszyscy — w efekcie — nadal wyrządzać będziemy krzywdę swoim dzieciom, posyłając je do szkół i na studia, pan obijacz drzwi nadal będzie patrzył na nas wszystkich — pracowników sektora uspołecznionego — jak na istne kaleki, godne szczerej pogardy, bo nie potrafiły się odpowiednio w życiu „urządzić".

I tak dalej.

Ps. Rozwiewa się kolejny mit — o kolosalnych zarobkach dziennikarzy. Do upowszechnionych już danych dorzucę jeszcze jeden — lokalny całkiem — szczegół. Przeciętne pobory (pensja plus honoraria) dziennikarzy zatrudnionych w redakcjach Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego wyniosły w 1980 roku 5384 złote miesięcznie.

W hali targowej.

Foto: R. Łucyszyn

GRANICE świńskiego targowiska

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Będzie o mięsie.

Ale najpierw złap ogólną atmosferę tego parszywego siedliska tandety. Wysiadasz zatem przy Placu Niepodległości i zwracasz swoje naiwne, słowiańskie oczy w stronę starej hali Geyera. Po lewej ręce masz zatłoczony Uniwersal, po prawej pustawą krańcówkę tramwajową. Zostaw to! Przetnij Piotrkowską i wejdź na ten szubrawy rynek. Wmieszaj się w tę miejsko-wiejską ciżbę. I żeby potem nie było, że tu i ówdzie zasunąłeś bombę, wyjmij długopis i notuj ceny. A jak gdzieś nie zauważysz ceny, to pytaj:

— *Panie, po ile rzodkiewki?*

— *Piętnaście.*

— *Kartofle?*

— *Szesnaście.*

— *Co pan chcesz za tego liska, szefie?*

— *Dziesięć.*

— *O dolarach pan myśli?*

— *O tysiącach.*

Uspokój się! Będzie o mięsie. Ale przedtem warto chyba zapoznać się, choćby pobieżnie, z panoramą wolnorynkowego złodziejstwa. Warto zobaczyć, co handlarze zrobili z naszą polską złotówką. Garnuszek ziemi ogrodniczej — pięć, torebka pieczarek — sześćdziesiąt, główka sałaty — dwadzieścia, szafka kuchenna, wyrób własny — trzy tysiące, butelka węgierskiego szampana — pięćset pięćdziesiąt, paczka krótkich amerykańskich Pall Mall'i — sto pięćdziesiąt, metka od Wranglerów — czterdzieści, skórzana kurtka turecka — piętnaście, płaszcz — siedemnaście, plastykowa torba od francuskiej brandy — sto pięćdziesiąt, sweterek niemowlęcy — czterysta, dżinsy — trzy i pół, złachana bluza Lee — cztery, lakierki czarne, męskie, produkowane zapewne sztancą w jakiejś zapadłej wsi pod Rzgowem, takie, co to rozlecą się w drobny mak po pierwszej ludowej zabawie — bez ceny; jakiś chłopak je akurat przymierza czerwony ze zdenerwowania, pewnie do ślubu; nieśmiały, jak każdy naiwniak wobec cwaniaka; że też nie może wejść do Uniwersalu i wybrać sobie przyzwoitej pary butów; ta cholerna małomiasteczkowa moda!

Już się zdecydował: sięga po pieniądze; siedemset, ostemset, dziewięćset; obraca je w rozdygotanych palcach; handlarz nakręca, żeby przełamać resztki oporu: — *Ścięty obczas, włoski fasun, tipofago.* Unosi się we mnie fala złości. Nie po to niby przyszedłem na rynek, ale już wiem, że muszę popsuć ten interes.

Pytam:

— *To ile niby pan chce za te trupięgi?*

Handlarz podrzuca wolem. Z satysfakcją obserwuję, jak krew zabarwia jego blade, zapłynięte tłuszczem policzki. Jednocześnie mityguje się przecież. Wyczuwa prowokację.

— *Za co?* — chrypi.

— *No, za to smutne plastykowe gówno.*

Wiem, że ma w tej chwili tylko jedno pragnienie: zdzielić mnie w ryj. Bo chłopak skorzystał z okazji i odszedł. Skompromitowany towar przestał go interesować, na wesele w końcu się szykował, nie na pogrzeb.

No, ale o mięsie. Króliki rzeźne. A jakże! Przycupnęło toto do ziemi. Rozpłaszczone. Oddycha bokami.

— *Co on niby ma kosztować?* — zagaduje jeden z potencjalnych nabywców.

— *Siedemset.*

— *Panu chyba świruje w głowie. Samiec?*

— *Samiec.*

— *Cztery kilo?*

— *Sześć kilo.*

— *To ja się z panem przetnę o połowę, że nie ma więcej niż pięć.*

— *A co ja się z panem będę przecinał?*

Sporo tych królików. Nie tylko sprzedaż. Także skup. Na środku placu stoi nyska o łódzkich znakach rejestracyjnych. Drzwi anonimowe nie pisze nawet „użytek własny". Na platformie skrzynki z królikami, a także niewielki stoliczek, przy którym stoi kobitka. Co się tyczy szefa interesu, człowieka, od którego wprost bije niezmącona radość życia, urzęduje przy zestawionej na ziemię, wielkiej, pordzewiałej wadze. Otacza go tłum dostawców. Nie grymasi nasz szef, oj! nie grymasi. Bierze wszystko, jak popadnie. Grube, chude, chore, o wyleniałych uszach i wyleniałych bokach, którym z oczu wyziera smutek śmierci. Płaci wedle ustalonego cennika: sześćdziesiąt złotych za kilogram, jeśli dostawa „królęciny" była wcześniej zakontraktowana oraz czterdzieści złotych za kilogram dla tych, co nie mają kontraktu. Kobitka, żeby było poważniej, wypisuje jakieś kwitki. Królików przybywa. Brakuje już dla nich miejsca w skrzynkach i klatkach, więc hasają luzem na platformie.

Zwracam się do gościa, który toczył przed chwilą z szefową ożywioną dyskusję i którego twarz wyraża głęboką znajomość przedmiotu:

— *I co oni z tym wszystkim robią?*

— *Biją i wysyłają za granicę, przede wszystkim do RFN. Opłaca się. Cztery dolary za kilogram bloru.*

— *No dobrze, ale jak radzą sobie z transportem?*

— *Transport, to nie ich sprawa. Przyjeżdżają po prostu wozy — chłodnie... Tak jest, proszę pana. Na Zachodzie ceni się mięso królicze.*

— *Pan też ceni?*

— *A jak! Kruche, białe, lepsze od schabu i na rosół dobre. Tylko trzeba wiedzieć, jak zabić. Ogłuszasz pan i od razu spuszczasz pan krew. I masz pan doskonałą czerninę.*

No, a teraz o drobiu. Na rynek, co wkrótce okaże się ważne, podjeżdża elegancki żółty fiat. Prowadzi dwudziestopięcioletnia, przystojna dama, a obok trzydziestoletni caballero. Myślę: młode, zamożne małżeństwo, które dokona zaraz błyskawicznych zakupów. Nie zwracam, póki co, uwagi na tylne, przykryte derką siedzenie. Moją uwagę pochłaniają bez reszty dwie baby, które przycupnęły pod zamkniętym kioskiem, każdej pęta się u kolan kaczka i parę kur.

— *Wiele stoi?* — pytam, że to niby jestem stary rynkowy wyga.

— *Kaczka?*

— *Tak.*

— *Czterysta pięćdziesiąt.*

— *A kura?*

— *Zależy która.* Babsko patrzy na mnie nieufnie; coś jej nie gra. Gdybym chciał naprawdę kupić, miałbym w ręku jakąś siatkę.

— *Ta.* — Wskazuję tłustą sztukę.

— *Pięćset.*

Obok facet położył na straganie rękawice bokserskie ze skaju (dziewięćset). Chętnie pożyczyłbym jedną. Podchodzę do cwaniczki z piskletami. Trzyma je w dziurkowanych, tekturowych pudełkach. Dużo tego. Sześćset? Siedemset? W telewizji pokazywali takie po złotówce za kilogram w charakterze karmy dla zwierząt futerkowych. Cwaniaczka bierze natomiast po dwadzieścia złotych od sztuki. Ktoś mówi:

— *Ludzie, nie kupujta. Tu by trzeba milicję!*

Ktoś inny:

— *Na pewno same kogutki. I nie mają więcej niż dwa dni.*

— *Mają trzy dni* — oświadcza cwaniaczka z olimpijskiem spokojem. — *A komu się nie podoba, to wynocha!*

Posypuje ziarnem grzbiety żółtego, kotłującego się drobiazgu i przykrywa go złachanym kocem.

— *Daj pani trzydzieści* — decyduje się jakiś gość. W chwilę później wrzuca pisklęta do teczki. Za jego przykładem idzie kilka innych osób. Temu, co wziął pięćdziesiąt, cwaniaczka spuszcza parę złotych z tysiąca.

W ogóle drób ma powodzenie. Kura za pięćset już znikła. Niebawem znikają również wyprzedane do cna handlarki. Ku mojemu niepomiernemu zdziwieniu widzę, że para, która przyjechała żółtym fiatem, dwudziestoparoletnia dama i trzydziestoparoletni caballero, nie jest bynajmniej zamożnym małżeństwem, które chce dokonać zakupów. Ściągnęli derkę z tylnego siedzenia i wytaszczyli na plac sześć spętanych za nogi kaczek, niedużych, ale ładnych i tanich. Fo czterysta.

Paskarski skandal, który rozgrywa się na rynku, pod gołym niebem, jest niczym w porównaniu ze skandalem, który rozgrywa się w hali. Kiedy tu wchodzę, wszystkie widziane wcześniej przekupki z placu wydają mi się wielkimi dobrodziejkami. Cielęciny i schabu już nie ma. Jest natomiast wołowina z kością — dwieście dwadzieścia, i kura na wagę — dwieście. Jest również biały ser — sto sześćdziesiąt złotych kilogram. A więc dzięki tym bezczelnym, chamskim, panoszącym się za stoiskami spekulantom doczekaliśmy się „warszawskich" cen. Jakiś grzdyl sprzedaje bułki po sześć złotych. Chryste Panie! W sklepie płacisz za taką dwa. Ludzie bluźnią spekulantom w twarz, raz po raz wybucha awantura. Jakiś staruszek dostał napadu histerii; wymachuje rzeźnikowi pięścią pod nosem i wrzeszczy: — *Krwiopijco! Bandyto!* Rzeźnik nawet nie zaszczyca go spojrzeniem. Unosi do góry tasak i wali z rozmachem w bryłę czerwonego mięsa, krwawy odprysk pada na stoisko z literaturą w pobliże „Na wschód od Edenu" Steinbeck'a (dwieście) i „Potopu" Sienkiewicza (czterysta). Bo od razu trzeba tutaj powiedzieć, że w byłej hali Geyera stoiska z literaturą są prawie tak liczne jak stoiska z mięsem. Zresztą — wszystko razem jest ze sobą zmieszane: wypatroszony drób obok konfekcji, warzywa obok płyt beatowych, pławiące się w brudnych wiadrach kwiaty obok mąki i kaszy. Ciekawe, czy był tu chociaż raz inspektor Sanepidu? Grupa Cyganek wróży z kart i z ręki. Bardzo lubię Cyganów, aczkolwiek czystość nie jest ich najmocniejszą stroną. Jedna z tych czarnowłosych, karmazynowych piękności łapie mnie obcesowo za rękaw:

— *Chodź, panoczku, przyszłość przepowiem, po imieniu i nazwisku twoich wrogów wskażę...*

Odstawiam ją bez nadmiernej delikatności:

— *Spływaj! Ja też ci mogę powróżyć.*

— *Ty?!* — Dotknąłem ją widocznie do żywego, bo patrzy mi z nienawiścią w oczy. — *Umrzesz* — powiada — *zanim skończysz czterdzieści lat.*

A ja na to, odwzajemniając spojrzenie:

— *Już skończyłem. I zapamiętaj sobie: jestem wielkim jasnowidzem, nie żartuję. Trzymaj się lepiej z daleka od tych swoich oszukańczych praktyk, bo w twoich oczach... czekaj! nie odwracaj się na Boga! w twoich oczach widzę ciężkie nieszczęście!*

Od tej pory nie zaczepia mnie już żadna Cyganka. Ja natomiast jestem w agresywnym nastroju. O ile zazwyczaj próbuję pracować incognito, teraz bez żenady zatrzymuję się przed paskarzami, żeby zapisać to i owo w notesie. Już dawno zostałem rozpoznany. Wytykają mnie palcami, ci, co sprzedają złote obrączki i elektroniczne zegarki. Mnie jednakże absolutnie nie obchodzi biżuteria. Obchodzi mnie wyłącznie żywność. Litr śmietany — dwieście dwadzieścia. Teraz, kiedy piszę ten tekst, wiem już, że wszystkie ceny poszły w górę. Nie próbuję ich nawet wymieniać, aby nie usankcjonować tego okrutnego, wołającego o pomstę do nieba złodziejstwa. Umówmy się: wszystkie podane tu przeze mnie na początku ceny mięsa, serów, śmietany i drobiu są już nieaktualne.

Ludzie odgrażają się chłopom. Ale nie chłop tu winien. Chłop sprzedał swoją wołowinę po sto trzydzieści złotych za kilogram. Sprzedał ją na nieszczęście również temu, co ma swój samochód, co jeździ od wsi do wsi, od gospodarstwa do gospodarstwa, żeby potem cisnąć na halową ladę tonę mięsa po cenie dwukrotnie wyższej. Panuje na rynku spisek tych przedsiębiorczych i bezwzględnych aferzystów. Wczesnym rankiem ustalają taryfę i trzymają się jej solidnie do wieczora. Popatrz na ich twarze! Na ręce! Nie przypominają bynajmniej wieśniaków. Mowa też fetniacka, bardziej miejska niż wiejska. To samo zresztą można powiedzieć o kobietach, tych od serów, twarogów i śmietany.

Zastanawiam się, co będzie z mięsem, którego tego dnia nie zdołają sprzedać. Oczywiście, następnego ranka znowu cisną je na ladę. Tylko... w jakim stanie? Mają jakieś chłodnie, lodówki, żeby to przechować przez noc?

A sprzedaż idzie raczej opornie. Mało chętnych. Jakiś, wcale nie najbiedniejszy mężczyzna obliczył, że za swoją pensję mógłby kupić dwanaście kilo schabu albo siedem tłustych kur. Oto, co zrobił z naszą polską złotówką czarnorynkowy gang.

Zwraca moją uwagę człowiek ze słoikiem miodu. Nie wygląda ani na sprzedającego ani na kupca. Miodu też niewiele, na sześć palców. Podążą za tym człowiekiem dwóch energicznych mężczyzn, którzy również nie przypominają niczym handlarzy. I nagle, w chwili, kiedy jestem wściekły, kiedy większość ludzi jest wściekła, otrzymujemy satysfakcję. Widzę, że miód to wcale nie miód, tylko klej, a te zrolowane papiery, które niosą pozostali dwaj mężczyźni, to wcale nie prasa, nie pornografia, tylko plakaty, które pokrywają w błyskawicznym tempie otaczający halę mur. Czytam:

SOLIDARNOŚĆ CHŁOPSKA
TO FAKT!

Niżej, pod rysunkiem wieśniaka, który dźwiga w ręku koło ratunkowe:

ROLNICY INDYWIDUALNI
STANOWCZO
SPRZECIWIAJCIE SIĘ
SPEKULACYJNYM
CENOM MIĘSA, NABIAŁU
ZIEMNIAKÓW I INNYCH
ARTYKUŁÓW ROLNYCH!

ROLNIK NA TYM NIE ZARABIA
ZARABIA SPEKULANT!

NSZZ SOLIDARNOŚĆ
ROLNIKÓW INDYWIDUALNYCH

Tych trzech pracuje szybko i bezwzględnie. Tam, gdzie nie ma do muru dojścia, przeciskają się między stoiskami, albo każą sobie zrobić miejsce. Słyszę: „*Proszę się posunąć*" — i plakat. „*Proszę wstać, chcę wejść na ten gzyms*" — i plakat. „*Proszę zdjąć ten parasol ze ściany*" — i plakat. Ogłupiałe, z lekka wystraszone cwaniary reagują na te rozkazy bez szemrania. W końcu przychodzi zresztą kolej na „rzeźników". „Solidarność" wali im te plakaty wprost pod nosem: na tablicach, na stropach. Jeden ze spekulantów, ten, co sprzedaje chabaninę od frontu, na wprost drzwi, odwraca z zawstydzeniem głowę, podczas gdy człowiek z klejem pnie się po stoliku i postawionym na nim krześle aż pod sufit, gdzie smaruje pędzlem, z obu stron blaszany regulamin targowiska.

Kilka osób prosi o te plakaty, ci z „Solidarności" tłumaczą jednak, że ich przeznaczenie jest inne. Tu mają wisieć, w hali, a nie w prywatnych domach. Robią przecież wyjątek dla mojej legitymacji prasowej. Rozmawiam chwilę z panem Cybulskim. Mieliby dla mnie sprawę, gdybym zechciał wpaść któregoś dnia do ich siedziby na Piotrkowskiej. Tymczasem jednak oni śpieszą się do swoich zajęć, ja do swoich.

Podchodzę do przekupki, która sprzedaje biały ser po sto sześćdziesiąt złotych kilo.

— Czytała to pani? — pytam, wskazując na ścianę.

Baba w pierwszej chwili jest trochę speszona, ale jej kuma, ta od twarogu, odpowiada rezolutnie:

— My tam, panie, czytać nie umiemy.

— No, to ja zaraz wam pomogę.

Wyciągam z kieszeni otrzymany od Cybulskiego plakat i rozkładam przed nimi na ladzie.

Zawsze miałem sympatię do rozmaitych rynków, bazarów i targowisk, ten jednak, przy Placu Niepodległości, napawa mnie obrzydzeniem. Nie ma tu żadnej egzotyki, jest za to bezduszne, okrutne cwaniactwo, z którym wszelkimi sposobami i za wszelką cenę trzeba się jakoś rozliczyć.

ŻYCIE Z KARTKĄ W RĘKU

Rozmowa z prezydentem miasta Łodzi — JÓZEFEM NIEWIADOMSKIM.

Foto: R. Łucyszyn

Liczyliśmy, że wprowadzenie kartek na artykuły spożywcze przyczyni się do tego, iż każdy będzie mógł bez kolejki kupić to, co powinien otrzymać zgodnie z jego przydziałem. Praktyka dowodzi jednak, że jest zupełnie inaczej. Kolejki wcale się nie zmniejszyły. Kupowanie artykułów spożywczych nadal stanowi codzienną uciążliwość. A teraz, kiedy reglamentację rozszerzono na wiele innych artykułów, może być jeszcze gorzej. Ten stan rzeczy rodzi wątpliwości: — czy rzeczywiście kartki były niezbędne? Z pytaniem tym zwracam się do prezydenta miasta Łodzi — JÓZEFA NIEWIADOMSKIEGO.

— Jest to życiowa konieczność Nie ma innego sposobu sprzedawania artykułów spożywczych, a przede wszystkim mięsa, w warunkach ostrego deficytu. Reglamentacja jest więc formą sprawiedliwego podziału.

— Ale niedoskonałą.

— Ja bym tego nie rozpatrywał na płaszczyźnie wad i zalet. Jest to po prostu konieczność.

Poza tym czas wprowadzenia kartek na mięso był bardzo niekorzystny. Gdyby je wprowadzono w marcu, pierwsze doświadczenia mogłyby być inne. W kwietniu były święta. Do świąt ludzie zrobili przeszło 80 procent zakupów kwietniowych. To wpłynęło na pierwsze doświadczenie reglamentacji. Ludzie chcieli — i ja się im nie dziwię — kupić na święta lepsze gatunki wędlin i mięsa. Kartki przewidują kupno wędlin i mięsa w I i II grupie. Na przykład w I grupie jest schab. I największe zapotrzebowanie było na schab i wędzonki. Apelowaliśmy, aby ci, którzy chcą kupić te gatunki ustawiali się w odrębnej kolejce, dając tym samym innym możność kupienia czegoś innego.

— I co?

— Bez większych rezultatów.

— Ale po świętach większość znów chciała kupować mięso i wędliny w II gatunku. A w sklepach tego nie było. Dlaczego?

— Zawiodła dystrybucja i przemysł mięsny. Badamy tę sprawę. Wydaje się bowiem, że przemysł mięsny za dużo mięsa przeznaczył na wędliny i nie mógł w późniejszym czasie dostarczyć do sklepów akurat tego, czego poszukiwali klienci.

— W końcu jednak handel musi porozumieć się z przemysłem...

— Musi to nastąpić. Ustaliliśmy z przemysłem mięsnym jakie gatunki mięsa i wędlin będą codziennie dostarczone do sklepów.

— Ale czy handel właściwie to rozprowadzi?

— Spółdzielczość jest wprawdzie samorządna i niezależna, posiada aparat administracyjny znacznie większy od aparatu administracji państwowej, szanujemy tę niezależność ale w interesie klientów domagamy się, aby handel pracował we właściwy sposób.

Proszę tego wszakże nie rozumieć tak, że uchylam się od odpowiedzialności. Wszelkie pretensje w sprawie złego funkcjonowania handlu kieruję się przede wszystkim pod moim adresem.

— Skoro handel posiada tak wielką administrację, to może mogłaby ona pomagać w sprawniejszej sprzedaży artykułów spożywczych?

— W okresie przedświątecznym tak było. Ludzie z administracji pomagali w sklepach głównie przy wycinaniu kartek. Bezpośrednio przy dzieleniu mięsa nie mogli pomagać. Nie jest to bowiem taka prosta sprawa, jak by się mogło wydawać. Obowiązują tu określone przepisy sanitarne, których nie wolno pomijać.

Analizujemy dotychczasowe doświadczenia. Staramy się wyciągać wnioski z tego, co dzieje się do tej pory. Ale myślę, że dopiero w czerwcu będziemy mieli pełniejszy obraz.

— Przed świętami, i po świętach, w sklepach zostało mięso I gatunku, a ludzie odchodzili z kartką, czyli z kwitkiem. Fakt ten wywołuje niepokój, że mięso się marnuje.

— Nic się nie może zmarnować. Samochody chłodnie wywoziły mięso do chłodni i do dalszego przerobu. Przecież my nie dostarczamy więcej mięsa niż przewidują to kartkowe przydziały.

W pierwszych dniach kwietnia, w związku z oczekiwaniem zmian cen skupu żywca, przemysł mięsny był praktycznie pozbawiony możliwości produkcyjnych, a zaległości w skupie na dzień 6 kwietnia wyniosły 1800 ton.

Zaraz po podniesieniu cen skupu zwiększyły się dostawy. Rolnicy wiedzieli o podwyżce cen skupu i czekali na to. Stąd wyższe dostawy. Ale to się już skończyło. Obecnie dostawy są w granicach 60—80 procent tego, co było zaraz po podniesieniu cen skupu. Jeśli więc są nawet jakieś nadwyżki mięsa, to muszą być magazynowane, bo kartki obowiązują przez 3 miesiące i przez te 3 miesiące muszą być zagwarantowane określone dostawy do sklepów.

— Czy nie byłoby lepiej, gdyby wprowadzono kartki wartościowe?

— Uważam, że byłoby lepiej. Takie zresztą stanowisko prezentowaliśmy. Dawałoby to kupującym możliwość dokonywania wyboru: albo 1 kg schabu, albo 2 kg wołowiny, albo pół kg szynki, albo 2 kg zwyczajnej.

— Dlaczego tak się nie stało?

— Resort, po konsultacjach, podjął decyzję, aby były to kartki dzielące mięso na grupy. Nie jest to więc tylko decyzja resortu.

— Ale, czy jest dobra?

— Nadal uważamy w Łodzi, że jest to decyzja zła. Sądzę jednak, że jakiekolwiek zmiany można będzie wprowadzić dopiero po 3 miesiącach.

— Jeśli system kartkowy można będzie usprawnić dopiero po 3 miesiącach, to prace w handlu można usprawniać już teraz. Na przykład: wydawanie na kartki jest niebywale powolne, jest pracochłonne. Trzeba je wycinać, naklejać, liczyć, towar trzeba dokładnie ważyć. Potrzeba więc więcej ludzi w sklepach. Czy rzeczywiście nie ma skąd ich wziąć? A sklepy nabiałowe? Nabiału nie ma. A sklepy drobiarskie? Drób przecież sprzedaje się teraz w sklepach mięsnych na kartki?

— Tak, według wyliczeń pracowników handlu, czas obsługi klienta wydłużył się trzy — a nawet czterokrotnie, w przypadku jednorazowej realizacji większej ilości kart. W ubiegłym miesiącu w sklepach drobiarskich przywrócono sprzedaż drobiu na kartki.

— Mnie chodzi o przesunięcia ludzi na ten gorący okres z tych dziedzin, gdzie jest zastój, albo minimalny ruch, do tych, gdzie praca jest bardzo uciążliwa i gdzie jest potrzebna pomoc.

— Ma pani rację. Przed świętami odwiedziłem 14 supersamów czynnych w wolną sobotę. Jest chleb, mleko, coś tam jeszcze, sporo personelu i czynna tylko jedna kasa, a przed tą kasą długa kolejka. Jest to rzecz zupełnie nie do przyjęcia.

— Czyja to wina?

— Cały handel spożywczy jest w ręku WSS „Społem".

— Czy tak trudno się z nimi porozumieć?

— Wydałem odpowiednie dyspozycje, nawet nie wiem, czy zgodnie z prawem. Zresztą mniejsza o to, chodzi po prostu o elastyczne działanie. Rzeczywiście trzeba, by część personelu ze sklepów spożywczych przesunąć do sklepów mięsnych.

— To chyba oczywiste.

— Zarząd Wojewódzki WSS „Społem" musi dać większą swobodę oddziałom dzielnicowym i od nich wymagać.

— Odnosi się takie wrażenie, że w administracji „Społem" nic się nie zmieniło. Kwitnie radosna twórczość papierkowo-sprawozdawcza, a to, co dzieje się w sklepach, nikogo wiele nie obchodzi.

— Jeżeli ktoś nadal tak myśli, to nie rozumie i nie powinien pracować w handlu. W handlu musi obowiązywać elastyczne działanie.

— Ale handel tego nie robił od lat.

— Niestety, dlatego działają jeszcze stare nawyki. To musi się zmienić. Zobowiązałem naczelników dzielnic, miast i gmin do czuwania nad sprawnością pracy handlu i interweniowania w razie takiej potrzeby.

Moim obowiązkiem jest troszczyć się o to, aby dostawy mięsa i innych artykułów były zgodne z potrzebami określanymi przez kartki. Ich dystrybucja to już sprawa handlu. Trudno na Boga Ojca, wymagać jeszcze od prezydenta, aby zajmował się organizacją handlu.

— I transportem artykułów spożywczych, bo z tym też nie jest najlepiej... Przecież nierytmiczność dostaw, to w dużej mierze wina transportu.

— Zgoda. Przy reglamentacji ilość towaru znacznie się zmniejsza, a transport jest taki sam. Nic więc nie stoi na przeszkodzie, aby pracował lepiej. Dostawy muszą być rytmiczne.

— Ministerswo handlu uważa, że odpowiedzialność za wszelki bałagan z kartkami ponoszą władze wojewódzkie.

— Słusznie. Nie można przecież wszystkiego zwalać na ministerstwo.

— Ale w niektórych województwach inaczej poradzono sobie z kartkami. Rozszerzono tam reglamentację dużo wcześniej.

— Moim zdaniem zrobiono źle. Nie może być takiej sytuacji, że w jednym województwie mąka jest na kartki, a w sąsiednim nie. I ludzie z jednego województwa, gdzie reglamentację rozszerzono, wykupują artykuły w drugim, gdzie reglamentacji nie rozszerzono. W tej sprawie powinna być jednolita polityka państwowa.

Tu może uwaga, nie gwoli usprawiedliwienia się, ale dla informacji. Otóż, przy ocenie doświadczeń kwietniowych w reglamentacji mięsa i wędlin województwo łódzkie nie wypadło wcale tak najgorzej. W niektórych województwach sytuacja była wręcz tragiczna. Tak było w Warszawie.

Dla nas stąd wniosek, że trzeba na przykład uruchomić tam wszędzie, gdzie to możliwe, więcej stoisk, aby w ten sposób przyśpieszyć sprzedaż. Bo jest to zajęcie uciążliwe i powolne.

W tym miejscu chciałbym podkreślić i wyrazić słowa uznania dla wyjątkowo trudnej i ciężkiej pracy sprzedawców, bo przecież to na nich wyładowuje się najczęściej gniew klienta.

— Chociaż oni są Bogu ducha winni. Często odpowiadają za winy innych.

— Musimy wszyscy mieć świadomość, że będziemy żyli przez jakiś czas z kartkami i musimy się takiego życia nauczyć.

Nie jest i nie będzie to nauka łatwa.

— Tak. Kartki — tego spodziewaliśmy się — miały być ułatwieniem życia, a stały się jeszcze jednym utrudnieniem. Zaczyna się to od wydawania. Przyznam się, że dla mnie sprawą bardzo żenującą są te wszystkie przetargi przy wydawaniu kartek dla rencistów i inwalidów. Kto im ma wydawać, dlaczego, kiedy. A potem te długie kolejki, czekanie. Czy nie można tego jakoś inaczej, bardziej po ludzku zorganizować?

— Jest to sprawa niezmiernie trudna. Przede wszystkim dlatego, że kartki są drukami wartościowymi, ścisłego zarachowania. Poza ROM-ami nie ma kto ich wydawać. A pracownicy ROM nie chcieli tego robić. Trzeba było prowadzić długie rozmowy, aby zgodzili się.

A wydać trzeba kartki dla około 170 tysięcy ludzi. To nie bagatela. Tylko, że my dziś mamy do ROM pretensje, że za długo wydają kartki, że ludzie starzy, inwalidzi czekają w kolejkach. I to jest prawda. Ale jutro będziemy mieli do nich pretensje, że dachy cieknął, opóźniają się remonty, w posesjach są nieporządki. I to też będzie prawda. Wszystkiego jednak naraz nie da się zrobić.

— Czy z pomocą ROM-om nie mogą przyjść samorządy mieszkańców?

— W niektórych przypadkach tak się stało. Samorządy zainteresowały się szczególnie w przypadku ludzi chorych, samotnych, którzy sami nie mogli pójść po kartki. Tylko, że samorządy, nawet przy idealnej działalności, wszystkiego nie załatwią. Administracja państwowa musi wypełnić swoje zadanie. Ktoś przecież musi za te kartki ponosić materialną odpowiedzialność.

Z drugiej jednak strony proszę pamiętać, że ta administracja jest po trzech kolejnych zmniejszeniach etatów. A jej zadania wcale się nie zmniejszyły. Przeciwnie. Ciągle rosną.

— Obecnie znów postuluje się jej zmniejszenie.

— Nie sądzę, aby to było możliwe. Dalsze zmniejszenie administracji państwowej pogorszy obsługę petentów. My przecież pełnimy funkcje usługowe w stosunku do społeczeństwa i chcemy je pełnić dobrze.

— A administracja handlowa? Czy tam nie ma przerostów?

— Przede wszystkim są to wewnętrzne sprawy WSS „Społem", czy innych przedsiębiorstw handlowych. Ale, gdyby popatrzeć na to obiektywnie, to tylko pozornie może się wydawać, że dziś w handlu administracja ma mniej pracy. Dziś jest trudniej zdobyć towar. Wymaga to większego wysiłku. Zaangażowania większej liczby ludzi.

Przykład: w ubiegłym roku brakowało ziemniaków. Trzeba było utworzyć zespoły, które jeździły po kraju i szukały ziemniaków dla łódzkich sklepów. To zespoły utworzono z pracowników administracji. Niegdyś rolnik szukał zbytu na swoje ziemniaki, teraz handlowcy szukali rolnika, który zechciałby sprzedać ziemniaki. I tak jest nie tylko z ziemniakami. Nie tylko z artykułami spożywczymi. Z artykułami pochodzenia przemysłowego podobnie.

— No dobrze. Załóżmy, że wszyscy, którzy pracują w administracji są rzeczywiście potrzebni i są właściwie wykorzystywani. Czy wobec tego nie można było tak przygotować system rozprowadzania kartek, aby nie było aż takich rażących błędów? Skąd się wzięło owe 6 milionów kartek ponad wszelkie wyliczenia? Czyja to wina? A przecież były to drugi wartościowe i ścisłego zarachowania. Nie mogę tego pojąć. I nie tylko ja.

— Te 6 milionów dotyczy całego kraju. U nas nadwyżka — jeśli tak to można określić — wyniosła około 6 tysięcy. Jest to granica błędu, która w stosunku do 1 150 tysięcy mieszkańców województwa nie wydaje się wielka.

— No tak, ale na te 6 milionów kartek, a u nas na 6 tysięcy, potrzebne jest mięso i wędliny. Wtedy granica tego błędu wygląda nieco inaczej. Można więc podejrzewać, że chodziło tu głównie o oszustwa. W końcu zakład pracy wie, ilu ma pracowników.

— Wśród zakładów pracy nie stwierdziliśmy znamion oszustwa. Były natomiast takie wypadki indywidualne. Na przykład niepracującym wydawaliśmy kartki w różnych punktach. Okazało się, że brali w kilku. Trzeba wobec tego było zrobić jeden punkt i prowadzić ścisłą ewidencję. Zdarzało się, że matka brała kartki dla dzieci i ojciec brał także.

— Mówiło się również o rencistach pracujących na pół etatu i o chłopo-robotnikach.

— I tu mogły zdarzyć się przypadki nieuczciwości.

— Ale przecież na wsi administracja powinna wiedzieć i chyba wie, gdzie i kto pracuje. Czy tylko utrzymuje się z rolnictwa, czy też dojeżdża do miasta do pracy. Tam trudno ukryć się przed oczyma sąsiadów.

— Powinni się przynajmniej orientować.

— Dowodzi to chyba nieudolności wiejskiej administracji. Przyzna pan chyba, że poza kolejkami, których się nie spodziewano, owa 6-milionowa nadwyżka była niebywale irytująca.

— Tak. To irytuje. I jest to wina administracji państwowej. Myśmy w Łodzi też mieli kłopoty z pewnymi kartkami, gdyż okazało się, że mimo ścisłych wyliczeń, zabrakło ich. A zabrakło dlatego, że zamówienia województwa nie były w pełni realizowane przez Ministerstwo Handlu Wewnętrznego i Usług.

— Jaki był cel rejestracji kartek w sklepach?

— Chodziło o zlikwidowanie kolejek, aby ludzie mogli sobie równomiernie rozłożyć zakupy i aby sklepy wiedziały, ile i czego mają sprzedać danego dnia.

— Ale to się nie udało. Niektóre sklepy przyjmowały po 5 tysięcy kartek, a inne mniej. Żaden sklep nie mógł odmówić rejestracji. Czy przemyślano więc to do końca?

— Musi być na kartce stempel sklepu w Łodzi, aby nie wykupowali u nas mięsa ludzie z innych województw. Ale zgadzam się, że takie ustalenia stwarzały wiele utrudnień kupującym.

— Kto te utrudnienia stworzył?

— To była decyzja resortu. Myśmy już od tego odeszli.

— Zarejestrowano też kartki na cukier i trzeba kupować cukier w określonych sklepach. Bony można było realizować w dowolnym sklepie. Jaki więc to ma sens?

— Sprawdzałem. Poinformowano mnie, że cukier na kartki można kupować w dowolnym sklepie.

— Powiedział pan niedawno, że gdyby pan wiedział, jakie rezultaty da rejestracja kartek, nigdy by pan się na to nie zgodził. Dlaczego więc w Łodzi rejestrowano kartki?

— Wykonywaliśmy tylko polecenie.

— Znów więc w Warszawie wiedzą lepiej i decydują za wszystkich?...

— Teraz rozluźniono te decyzje. Dano nam możliwość decydowania na miejscu, zgodnie z lokalnymi warunkami i potrzebami.

— Lepiej późno.. Ale na przygotowanie „akcji kartkowej" było sporo czasu. Można było wszystko dokładnie przemyśleć i nie popełnić błędów.

— Ja bym tego błędem nie nazwał. Raczej przedobrzono sprawę.

— Mniejsza o określenie. Skutki okazały się fatalne.

— Idea była szlachetna, tyle, że okazała się nieskuteczna. Mam nadzieję, że po doświadczeniach trzech miesięcy dojdzie się do wniosku, iż jednak kartki wartościowe są rozwiązaniem lepszym.

— Tylko, czy wówczas przemysł okaże się na tyle elastyczny, że będzie w stanie sprostać bardzo różnym zmiennym potrzebom handlu i klientów?

— Przede wszystkim opinia społeczna musi się wypowiedzieć, które rozwiązanie woli, które społeczeństwu bardziej odpowiada. Z moich obserwacji wynika, że jednak kartki wartościowe będą lepsze.

A w ogóle to byłoby najlepiej, gdybyśmy mogli jak najszybciej zlikwidować kartki.

— Też jestem tego zdania. Póki jednak co, musimy — jak to pan powiedział — nauczyć się żyć z kartkami.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

PS. Sprawdziłam również, jak to jest z tymi kartkami na cukier i okazało się, że jednak można kupować cukier tylko w tych sklepach, w których zarejestrowało się kartkę. Kto tu kogo wprowadza w błąd?

— Co pan na to?

— Podtrzymuję wcześniejsze stwierdzenie, że cukier na kartki można kupować w dowolnym sklepie spożywczym. Nie wykluczam jednak, że informacja ta mogła nie dotrzeć do każdej placówki w mieście.

Zobowiązałem wszystkie służby handlowe do szerokiego wyjaśnienia tej sprawy, aby nie powtórzyły się tego rodzaju nieporozumienia.

(Dalszy ciąg ze str. 1)

cji niezbędnej do przeprowadzenia gruntownego remontu kilkuset kamieniczek, jednakże wiele jeszcze czasu upłynie zanim brygady remontowe rozpoczną ratowanie wielowiekowych murów. Odnosi się bowiem wrażenie, że więcej czasu i energii traci się dotąd na jałowe dyskusje, niż na konkretną robotę. Świadczy o tym choćby nieszczęsna kamieniczka w Rynku, w której tylko w okresie dożynek czynna była okolicznościowa wystawa i stoisko z prasą i pamiątkami. Na urządzenie w tej kamieniczce klubu międzynarodowej prasy i książki brakło już pieniędzy i dożynkowego zapału. Kilkanaście pomieszczeń z rozkutymi ścianami straszy w centrum miasta od września 1979 roku.

Nie jest to jedyny obiekt zabytkowy czekający tu na ratunek. W fatalnym stanie znajduje się obecnie wielet innych starych kamieniczek rozsianych wokół najstarszej części miasta zamkniętej niegdyś średniowiecznymi murami obronnymi. Dotyczy to także Starego Cmentarza, na którym w tajemniczych okolicznościach zburzono w ostatnich latach wiele nagrobków pochodzących z ubiegłego wieku, będących wytworem wysokiej klasy polskich kamieniarzy. Część nagrobków potłuczono młotami, część płyt posłużyła do budowy kamiennego chodnika na tymże cmentarzu! Dodajmy, iż spoczywa tu m. in. ojciec numizmatyki polskiej — Kazimierz Stronczyński, znakomity znawca monet — Ignacy Zagórski, młody poeta Teodozjusz Krzywicki, ojciec wielkiego pisarza Władysława Reymonta Józef Rejment, wielu świetnych pedagogów, wychowawców szkół piotrkowskich, uczestników powstań narodowych i gorących patriotów.

Brakuje pieniędzy na ratowanie wszystkich pamiątek przeszłości — to prawda. Ale prawdą jest także że w niejednym przypadku za słowami ojców miasta nie idą czyny, że **brakuje, inicjatywy, a niekiedy i dobrej woli.** W ciszy cmentarnych kasztanów giną więc wspaniałe zabytkowe nagrobki, wilgoć i grzyb niszczą mury wielu domów. Ze zgrozą przypominam słowa jednego z gospodarzy trybunalskiego grodu, który stwierdził, iż ratunkiem dla tych obiektów jest... buldożer.

NAJŁATWIEJ ZBURZYĆ

Szczerze trzeba sobie powiedzieć, iż taka praktyka nie tylko w Piotrkowie święci triumfy. W wielu miastach kraju dobry jest każdy pretekst, by zburzyć stary dom, choćby nawet był jeszcze w najlepszym stanie. Na taką zawalidrogę bez najmniejszych skrupułów podpisuje się wyrok śmierci. Takie wyroki wydano już na wiele kamieniczek w rejonie Zamku Królewskiego i innych częściach miasta. Nie pomagają argumenty,że czasem warto ratować choćby dla zachowania klimatu na danej ulicy, owego nastroju tak trudno osiągalnego w nowych miastach i osiedlach, czy po prostu nie uszczuplania i tak nadal skąpej substancji mieszkaniowej. W ostatnich latach bez uzasadnienia poszło pod kilof wiele obiektów.

Sprawa ratowania piotrkowskich zabytków stała się głośna w ostatnich miesiącach m.in. z powodu dożynek. Święto plonów przyśpieszyło bowiem realizację tzw. Trasy W-Z, której projekt opracowany został jeszcze w latach sześćdziesiątych. **Gdy w 1980 r. budowniczowie tej arterii przystąpili do realizacji odcinka od ul. Bieruta do ul. Krakowskie Przedmieście, widoczne stało się niebezpieczeństwo zagrażające zespołowi staromiejskiemu.**

Nad projektem trasy, przecinającej miasto z zachodu na wschód, dyskutowano przed laty w gronie specjalistów. Zarówno konserwatorzy zabytków jak i inni ludzie dostrzegający ujemne skutki takiej arterii dla miasta ostrzegali przed podejmowaniem pochopnych decyzji. Nie słuchano ich. Szerokiej dyskusji społecznej na ten temat nie było, bo i chyba sami zwolennicy arterii nie wierzyli w szybką jej realizację.

Wraz z dożynkami przyszły pieniądze. Zbudowano potężny węzeł bełchatowski i fragment trasy prowadzący do ul. 22 Lipca. Do realizacji pozostał odcinek przecinający linię kolejową i fragment łączący ul. Bieruta z tzw. rondem sulejowskim. Sprawa stała się nagle aktualna. Mając już fragmenty trasy, gospodarze miasta postanowili w szybkim tempie zakończyć roboty. Zamiar ten byłby z pewnością już zrealizowany, gdyby nie protesty specjalistów i społeczeństwa. W końcu ubiegłego roku na łamach „Głosu Robotniczego" ukazał się **„List otwarty w sprawie piotrkowskiej Starówki" mgr Kazimierza Głowackiego,** głównego specjalisty do spraw badań naukowych Pracowni Konserwacji Zabytków w Kielcach, Oto fragmenty tego listu:

„...Nietrudno dowieść, iż zamiar wprowadzenia do zabytkowego śródmieścia Piotrkowa Trybunalskiego dwujezdniowej arterii szybkiego ruchu — niejako wbrew intencjom projektodawców — pociąga za sobą liczne i zasadnicze utrudnienia swobodnego korzystania z komunikacji pieszej (która, czy się tego chce czy też nie, w tym właśnie rejonie pozostać musi główną formą poruszania się!). Nie rozwiążą tego bynajmniej w przyszłości nawet najkosztowniejsze inwestycje jakimi musiałyby być (wraz zrozwojem miasta) — liczne przejścia podziemne dla pieszych itp. Efektem autostrada — „zawalidroga" usytuowana właśnie w obecnie projektowanym miejscu (ob. ul. M. Kopernika i dalej Trasa W-Z) poza wprowadzeniem do ciasnego centrum Starówki spalin, zniszczyć musi również konkretne obiekty architektoniczne. Podobny los spotkać musiałby i tereny zabytkowe, które należałoby uchronić i przekazać potomnym jako cenną spuściznę dziejów miasta. Niewiele z dbałością o dobro miasta i jego wszechstronny rozwój może mieć przemilczanie czy też niedocenianie faktów przy ustalaniu wytycznych do szerszych realizacji w mieście. Tak się ma niestety sprawa lekceważonej Kaplicy św. Trójcy nad Strawką. Obiekt ten bez jakiejkolwiek głębszej analizy czy naukowego rozpoznania „wygodnie" jest uważać za budowlę bezwartościową, mimo że posiada ona w rzeczywistości metryczkę średniowieczną (tylko nieliczne z zachowanych tutejszych zabytków mogą się tym poszczycić!). Trudno właściwie (i bez irytacji) ocenić fakt, iż olbrzymi rozjazd nowo projektowanej arterii (w okolicach ul. Śląskiej i Sulejowskiej) zaprojektowano właśnie... w centrum dawnej rezydencji „myśliwskiej" Zygmunta Augusta(!). Zachowane tu do dziś, szczęśliwie uchronione od zabudowy pozostałości słynnych ogrodów królewskich Bony — gdzie indziej byłyby zapewne wymarzonym terenem adaptacji rekreacyjnych, tu... pokryte mają być asfaltem pochłaniając także przy okazji obszar zwierzyńca królewskiego, jak i nie zbadane zupełnie relikty monarszej rezydencji(!)

(...) Niepowetowaną stratą dla miasta byłoby, gdyby na naszych oczach zniknęła z panoramy — zabytkowa Kaplica św. Trójcy jak i piękne i cenne dla układu pozostałości Ogrodów Królewskich wraz z wartościowym historycznie pałacykiem Psarskich".

Ożywiona dyskusja prasowa spowodowała, iż sprawą zajął się w końcu generalny konserwator zabytków. Na jego polecenie w listopadzie ub. r. zjechała do Piotrkowa specjalna komisja, w skład której weszli przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz specjaliści z Międzyresortowej Komisji d.s. Rewaloryzacji Miast i Zespołów Staromiejskich. W wielogodzinnych obradach uczestniczył oczywiście wojewódzki konserwator zabytków i generalny projektant planu ogólnego Piotrkowa. Efektem tej wizyty było zalecenie wykonania badań specjalistycznych we wspomnianej kaplicy św. Trójcy. Dyrektor Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki — **Jacek Cydzik** stwierdził w liście wystosowanym do redakcji „GR":

„...Komisja po zapoznaniu się z sytuacją w terenie uznała, iż przebieg tej trasy w rejonie proponowanym planem ogólnym jest uzasadniony potrzebami wewnętrznej komunikacji, z założeniem niedopuszczenia ciężkiego transportu przelotowego. Uzdrowienie całego układu komunikacyjnego w rejonie zespołu staromiejskiego wymaga jednak równoległego realizowania połączeń obwodnicowych po północnej i południowej stronie miasta w celu odciążenia ruchu przelotowego. Ponieważ te realizacje wymagają dłuższego czasu, wiceminister kultury i sztuki prof. dr Wiktor Zin wystąpi do Ministerstwa Administracji Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska oraz wojewody piotrkowskiego o spowodowanie wariantowego opracowania, odsuwającego maksymalnie przebieg trasy od zespołu staromiejskiego oraz o spowodowanie wykonania badań specjalistycznych wpływu ruchu kołowego na trasie i jego oddziaływania na pobliski zespół staromiejski".

W kwietniu br. do Piotrkowa zjechała powtórnie ministerialna komisja. I choć znów wyznaczyła sobie ambitny zamiar zakończenia „piotrkowskiej sprawy", **sprecyzowano kolejne ustalenia, nie udzielające ostatecznych odpowiedzi.** Komisja zwróciła uwagę na fakt, iż są już zastane decyzje i określony stan realizacji determinujący dalsze działania. Nie można wydać decyzji wstrzymującej roboty, bowiem kawał trasy już jest! W sprawie spornej kaplicy komisja nie przedstawiła ostatecznego stanowiska wychodząc z założenia, że stan badań tego obiektu nie pozwala stwierdzić, czy wartościowe jest tylko to co pod ziemią, czy również i część naziemna rozbudowana po ostatniej wojnie. Jeśli idzie o ogrody królewskie z punktu widzenia konserwatorskiego — stwierdzono — powiny być uszanowane jako niecka zieleni. Zwrócono także uwagę na brak informacji o pobliskim pałacyku Psarskich, a także wyników badań archeologicznych na tym terenie. W wypracowanych wnioskach zalecono przeprojektowanie trasy, a właściwie jej najbardziej kontrowersyjnego odcinka, i nadanie jej charakteru alejowego. Oznacza to w praktyce, iż w rejonie Starówki powinna powstać szeroka ulica (nie dwujezdniowa trasa) obudowana zielenią, bardziej pasująca do zespołu staromiejskiego odległego od niej o zaledwie kilkadziesiąt metrów. Słusznie również zwrócono uwagę na potrzebę szczegółowego rozpracowania skrzyżowania alei z ul. Krakowskie Przedmieście, czyli miejsca gdzie stoi dziś sporna kaplica.

ASFALT W KRÓLEWSKICH OGRODACH

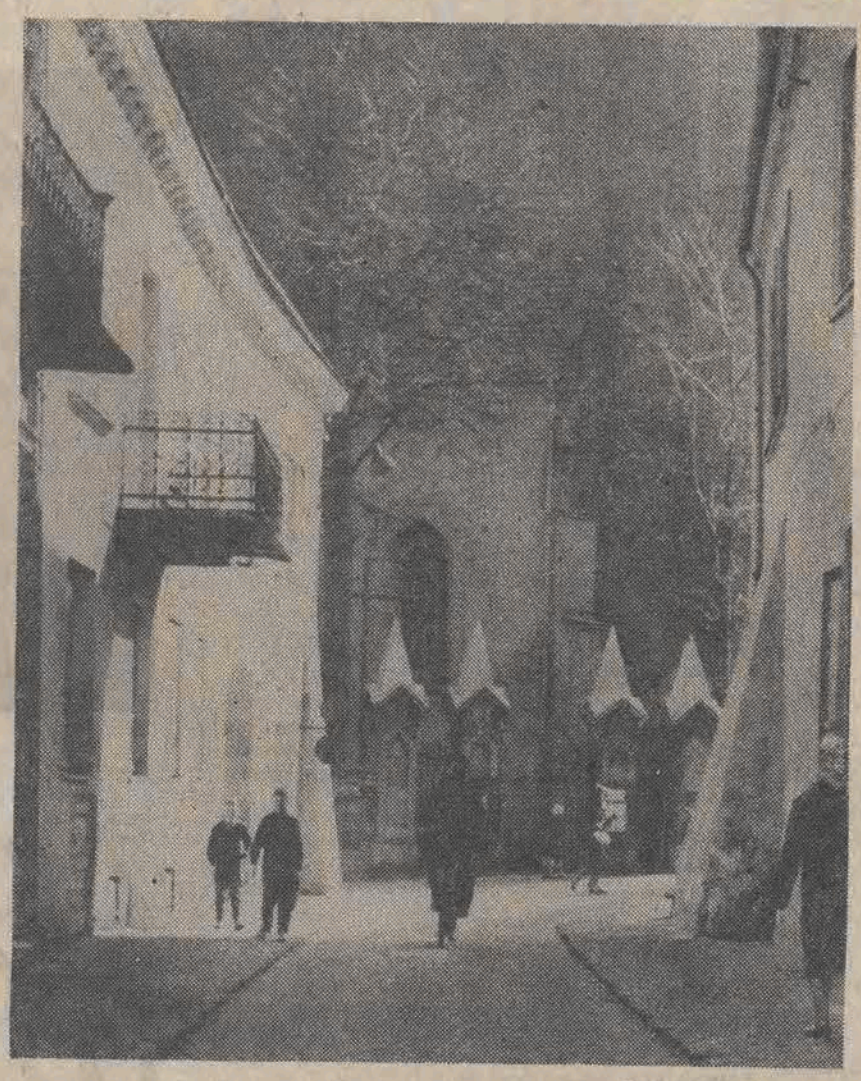

Foto: I. Płażewski

OCHRONA ZABYTKÓW

Podczas podsumowania dyskusji dyr. **J. Cydzik** powiedział kilka zdań stanowiących chyba najlepsze podsumowanie dyskusji. **„Wszystkie korekty związane są ze wzrostem kosztów. Stąd niejednokrotnie musimy podejmować decyzje niezupełnie zgodne z myślą konserwatorską".** To prawda. W przypadku Piotrkowa zrobiono wiele, by fakty dokonane były „argumentem nie do odrzucenia" i by właściwie tylko one warunkowały dziś realizację inwestycji. Czyż jakaś XVIII-wieczna kaplica, ogrody królewskie czy nawet inne największe skarby spoczywające w ziemi mogą stanowić jakikolwiek argument, gdy na drugiej szali znajduje się np. 30 milionów złotych?...

Podczas narady zapadło właściwie kilka wyroków skazujących. Jeśli dworek Psarskich jest budowlą XX-wieczną, nie ma podstaw do jej zachowania, także kaplica nie jest dokumentem, który powinniśmy ratować za wszelką cenę w istniejącej formie; z ogrodów królewskich też przecież nic nie pozostało... **Dość przypominania padających słów!**

URAŻONE AMBICJE, CZY...

Gospodarze miasta i województwa wielokrotnie przy różnych okazjach deklarowali swoją dobrą wolę w zakresie ratowania zabytków. Dziwi mnie zatem upór, z jakim działają w sprawie Trasy W-Z. Były wojewoda piotrkowski — **L. Wysłocki,** nie przyjął do wiadomości negatywnej opinii konserwatora dotyczącej tak drastycznej ingerencji budowniczych trasy w żywy organizm miejski, gabinetowymi decyzjami wydał wyrok na wspomnianą kaplicę. Również projektant trasy — **M. Łaszek** nie chce dostrzegać ujemnych skutków realizacji trasy według pierwotnej wersji, wyżej ceniąc praktyczny efekt, czyli nowoczesną arterię komunikacyjną, od wartości kulturowych, stanowiących odwieczny element trybunalskiego grodu.

CO BĘDZIE DALEJ?

Wicewojewoda piotrkowski — **Władysław Walach** usiłował wyprosić dziennikarzy z najważniejszej części obrad specjalistów radzących ostatnio nad dalszymi losami Trasy W-Z. Uległ w końcu prośbom łódzkiego dziennikarza, ale pozostał niesmak. Czyżby gospodarze województwa mieli coś do ukrywania? A może źródło kłopotów związanych z trasą upatrują w prasie?

Nie zapadła jeszcze ostateczna decyzja w sprawie piotrkowskiej arteri. W najbliższych dniach wyda ją prawdopodobnie generalny konserwator zabytków, wiceminister kultury i sztuki — **Wiktor Zin.** Mam nadzieję, iż uwzględni on głosy specjalistów i społeczeństwa.

Sądzę jednak, iż niezależnie od decyzji, nie wszystko jeszcze stracone i nadal wszystko zależy od piotrkowian. Dedykuję im ten przydługi nieco elaborat sądząc, iż wywoła on liczne refleksje.

P.S. Już kilkakrotnie wyrażałem swoją opinię o Trase W-Z. Nadal uważam, że obecnie jedynym wyjściem z tej trudnej sytuacji jest uwzględnienie wniosków dotyczących korekty arterii, która na spornym odcinku powinna stać się aleją. Ponadto uratować należy kaplicę św. Trójcy i ogrody królewskie. Będzie to możliwe po częściowej zmianie biegu arterii. Czy nas na to stać dzisiaj? Chyba nie. Może zatem realizację inwestycji należy odłożyć na dalsze lata?

RYSZARD PORADOWSKI

LISTY DO REDAKCJI

„BYLE NOWOCZEŚNIE"

W nawiązaniu do artykułu „Byle nowocześnie" zamieszczonego w „Odgłosach" z dnia 5.IV. 1981 r. — dyrekcja Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Piotrkowie Trybunalskim uważa za swój obowiązek odpowiedzieć na główne zarzuty postawione przez red T. Lechowską.

Budynek pracowni Rtg przy ul. Wojska Polskiego 2 liczy ponad 130 lat i był pierwotnie przeznaczony na cele dobroczynne, natomiast aparatura Rtg tam zainstalowana wyprodukowana została w 1969 r i okresowo musi być kontrolowana.

Decyzję o zamknięciu pracowni Rtg przy ul. Wojska Polskiego 2 podjął były dyrektor WSzZ — dr med. Z. Gałązka, bez konsultacji z Radą Szpitala i specjalistą wojewódzkis ds. radiologii.

Od 1.IX.1980 r. brak jest w szpitalu dyrektora naczelnego, aktualnie wakuje również stanowisko z-cy dyrektora ds. technicznych.

Pełniący czasowo od 1 stycznia 1981 r. obowiązki dyrektora naczelnego dr n. med. Cz. Rybicki zadecydował o wyremontowaniu i uruchomieniu pracowni Rtg w terminie do 30 kwietnia 1981 r. Prace rozpoczęto w lutym br., zaawansowanie prac pozwala na stwierdzenie, że termin ten zostanie dotrzymany.

Należy zaznaczyć, że oddziały szpitalne przy ul. Wojska Polskiego 2 pracują bez zaplecza diagnotycznego i gospodarczego. Ogólnie warunki pracy w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym są bardzo ciężkie, występuje znaczne zagęszczenie łóżek w salach chorych, brak pomieszczeń dla poradni specjalistycznych. ciasnota zaplecza diagnostycznego i gospodarczego. Rozwiązaniem tej trudnej sytuacji jest budowa nowego szpitala wojewódzkiego, umieszczona w planie na 1982 r.

Z przykrością stwierdzamy, że ton publikacji (w naszym odczuciu złośliwy i napastliwy) w sytuacji w jakiej znajduje się służba zdrowia w naszym kraju wskutek wieloletniego lekceważenia jej potrzeb — jest społecznie szkodliwy. Krytyka zamieszczona w artykule, będąc kontynuacją tradycji prasy, jest jeszcze jednym przykładem poszukiwania sensacji w służbie zdrowia potrzebującej obecnie (jak nigdy dotąd) przede wszsytkim konstruktywnej dyskusji. Dołączenie do tekstu fotografii z drzwiami, wiziętymi przez autorkę ze składowiska opału, jako corpus delicti na dewastację omawianej pracowni Rtg — jednoznacznie określają intencje red. T. Lechowskiej. O niezrozumieniu problemów medycznych przez autorkę artykułu świadczy krytyka przewozów dzieci z oddziału przy ul. Rakowskiej od oddziału laryngologicznego przy ul. Wojska Polskiego 2.

Karetką bowiem dowożone są na konsultacje wyłącznie dzieci, wymagające bardziej skomplikowanych zabiegów, odpowiedniej aparatury i zespołu fachowych pracowników.

Prosimy o więcej obiektywizmu i przychylności w przedstawianiu czytelnikom nabrzmiałych problemów służby zdrowia, których nie jesteśmy w stanie rozwiązać jedynie własnymi siłami.

Liczymy na zamieszczenie powyższych wyjaśnień na łamach tygodnika „Odgłosy".

Z-ca dyrektora
ds. Opieki Zdrowotnej
dr n. med. CZESŁAW RYBICKI

* * *

Decyzję o zamknięciu pracowni rtg podjął były dyrektor naczelny dr n. med. Z. Gałązka, natomiast o jej wyremontowaniu i uruchomieniu zadecydował nowy naczelny (p.o.) — dr n. med. Cz. Rybicki. Wiadomo: zły dyrektor podjął decyzję bez konsultacji z Radą Szpitala i specjalistą wojewódzkim ds. radiologii, przez co chorych szpitalnych skazał na dojazdy samochodami nie przystosowanymi do przewozu, zatrząsnął także drzwi do prześwietleń pacjentom lecznictwa otwartego, a lokal oraz aparaturę przeznaczył na ponadroczne niszczenie. Pytanie:

Czy zrobił to także bez konsultacji ze swoim byłym zastępcą ds. opieki zdrowotnej — dr n. med. Cz. Rybickim? O tym, niestety, doktor Rybicki nie informuje.

Z faktu, że budynek pracowni rtg liczy ponad 130 lat niewiele wynika. W Piotrkowie stoją budynki z metryką trzystuletnią i jakoś ludziom służą. Podjęcie szybkiej decyzji o szybkim remoncie (po kilku dziennikarskich wizytach) przemawia za przydatnością budynku, bez potrzeby ekspertyzy łódzkiego NOT, którą WSZ zamówił, co w sumie — potwietrdza moje zarzuty o niegospodarności, lekceważeniu pacjentów i pospolitym niedbalstwie.

„Oddziały szpitalne przy ul. W. Polskiego 2 pracują bez zaplecza diagnostycznego i gospodarczego" — pisze dyrektor Rybicki. Stało się tak nie bez udziału administratorów (vide: pracownia rtg). Co gorsze, nie decydują się oni na to, by sytuację poprawić. Przykładem sąsiedzki budynek przeznaczony do kapitalnego remontu. Jakie zaplecze zaplanowała w nim administracja? Przede wszystkim pomieszczenia dla... urzędników. Dla Wojewódzkiego Ośrodka Kadr Medycznych. Także dla pogotowia ratunkowego. Chyba po to, by pacjentów trzech szpitalnych oddziałów udręczac dzień i noc wjeżdżającymi i wyjeżdżającymi karetkami. Dziwnie to rozumiane „zaplecze".

Dla skutków błędnych lub bezwolnych działań szuka się dzisiaj często alibi. Jest nim (niczym w piosence Młynarskiego) s y t u a c j a. Otóż sytuacja „w jakiej znajduje się służba zdrowia w naszym kraju wskutek wieloletniego lekceważenia jej potrzeb", to jeden rozdział. Drugi każe wyjaśnić, że owa „sytuacja" jest również dziełem osób, nie zdających egzaminu na kierowniczych stanowiskach, począwszy od ZOZ, skończywszy na ministerialnych szczeblach.

O tym, co naprawdę szkodliwe, można poczytać nie tylko w „Odgłosach". Ot, choćby w miesięczniku „Walka z Gruźlicą i Chorabami Płuc' nr 3, 1981), w obszernym reportażu, pozwalającym nawet laikowi zrozumieć tak zasadniczy problem medyczny, jak pn. zależność między położoną na obie łopatki radiologią w Piotrkowie, a rozrostem gruźlicy płuc. Tytuł reportażu (przepraszam autorów za niepamięć) wielce wymowny:: „Prątków Trybunalski sory".

P.S. Nie szukałam sensacji, lecz drzwi wyniesionych w nieznane z pracowni rtg, których jak widać, dyrektor Rybicki do tej pory nie znalazł. Inne pomówienia są tylle warte, co termin uruchomienia pracowni rtg, podany „konstruktywnie" do wiadomości prasy, co piszę — przy drzwiach do rentgena nadal zamkniętych.

TERESA LECHOWSKA

„kaziuk"

MARIA SIWIŃSKA

Obudziłam się natychmiast pod dotknięciem ręki Onuty. Powiedziała:

— *Przepraszam cię, ale chciałaś zobaczyć rynek „ze świeczkami".*

— *Oczywiście, że chciałam. Wiele widziałam rynków rodzimych i obcych, lecz ze świeczkami jak dotąd nie oglądałam.*

Onuta odsunęła częściowo zasłony kładąc palec na szybie jeszcze granatowej od nocy.

— *Patrz!*

Spojrzałam w czarną przestrzeń w kierunku Bołtupia i Kalwarii. W bliżej nie określonej czarnej odległości roiły się żółte światełka.

— *Chodźmy* — zaproponowałam.

— *Nie wystarczy ci stąd?* — wyraźnie nie miała ochoty — *Zresztą nic ciekawego, same ciuchy, a od swądu świeczek dostaję zawrotu głowy. Pewnie wkręcają w nie najparszywszy łój barani. Na szczęście likwidują te „wietrzne" bazary. Dzisiejszy albo przyszły będzie już ostatnim. Miejsce po nim wykorzystają pod budowę nowego osiedla.*

— *Zostaniecie bez rynku?*

— *Wystarczy Kalwaryjski i Hale.*

Nie myślałam stojąc u okna z fałdami zasłon w ręku o przyznaniu lub nieprzyznaniu racji Onucie. Uderzyła mnie przede wszystkim jakaś wspólna obecnie polityka w stosunku do rynków i dzisiejsze ich ubóstwo. Warzywa, ciuchy, ciuchy warzywa, a później na pustych już miejscach po rynkach plątające się stada garłaczy pośród skąpej zieleni czasem pomnik zasłużonych.

Byłam zawiedziona stosunkiem Onuty do rynków bowiem w mojej świadomości zbyt głęboko były one powiązane z życiem miasta, można by pisać całą historię wileńskich rynków. W samym centrum miasta mogłabym wyliczyć osiem. Niektóre z nich wywodziły swe nazwy od bliższych miejscowości, a często i bardzo odległych jak: Kijowski, Nowogrodzki. Inny znów od cech sprzedających na nim swe towary, na przykład Bosaczki. Innemu znów patronował święty tej miary co święty Stefan. Były to rynki powszechne na które czasem chodziło się z mamą, ciocią, nianią, głównie po nabiał leśne runo, czasem po wóz drewna. Na Drewniany, gdzie przekupki latem na wiaderkach z wodą siedziały, a zimą z kolei z rozżarzonymi węglami, mniej już chętnie towarzyszyło się dorosłym. Odstraszał zapach śledzi i ryb i duszenie się tych ostatnich w ciasnych ceberkach napełnionych wodą. Wszystkie te rynki były powszechne, zaspokajające podstawowe wyzywlenie mieszkańców. Był jednak jeden, roczny, królewski, patronował mu sam święty Kazimierz, syn Kazimierza Jagiellończyka. Odbywał się w dniu jego imienin, czwartego marca, na rynku Łukiskim. Słynny „kaziuk" wileński, wielkie jarmarczne święto Wilna, pokaz dorocznego dorobku mistrzów rzemiosła i partaczy. Wszystko można było kupić od zabawki za jeden grosz począwszy do „kar" i rozwałków", nawet wiejalni. Ale dla dzieci najbardziej atrakcyjne były wozy pełne obwarzanków. Całe ich stosy leżały w rozmaitych średnicach, długościach sznurów, zapachu i kruchości. Najwspanialsze były smorgońskie. Wiadomo, wypiekali je akademicy z Akademii Smorgońskiej odkąd zabrakło „łokisów" i „niedźwiedzi" w puszczach Litwy i powiecie oszmiańskim. Taką girlandę z obwarzanków smorgońskich zawieszało się na szyi, okręcało się na ręku i chrupało się. Mówiono o nich „miód z całego ula". Akademicy siedzieli na wozach obok gór obwarzanków i patrząc wciąż jeszcze z wysokości swych katedr godnie i bez zachwalania podawali swój towar i tylko od czasu do czasu jakąś targującą się do upadłego jejmość o grosz, dwa posyłali „na rojsty" i w zasięg „małanek". Wiadomo o co chodziło. Żeby taka przepadła, zagrzęzła w rojstach wileńskich po czubek głowy, albo żeby błyskawica bez grzmotów poraziła ją jak poraża orzechy wypalając ich wnętrza do wodnistej czarności.

Wszystkie „kaziuki" były wspaniałe, no najwspanialszy gdy po raz pierwszy „spuszczona" z ręki rodziców ruszyłam w gromadce dzieci z podwórza. Rodzice zdecydowali się na ten krok zupełnie nieoczekiwanie I to wcale nie w celu kształcenia mojej samodzielności, lecz z powodu pewnych kłopotów natury materialnej, które już od dłuższego czasu nękały dom rodzicielski. Coraz częstsze ich wizyty na uliczce cichych bankierów wileńskich, wizyty w domach żyrantów, potomków zupników i celników książąt litewskich, potwierdzało, że sytuacja materialna dotąd jednolita zaczyna nadpękać i rodzicom nie w głowie będzie najbliższy „kaziuk". Wykorzystałam sytuację i umówiłam się z dziećmi z podwórza którym przewodził chłopak znający nie tylko centrum miasta, lecz i jego wszystkie przedmieścia, a nawet każdą dróżkę w lasach podmiejskich.

Dziadek to moje „spuszczenie" z ręki rodzicielskiej przeżywał na swój sposób. Wprawdzie nie zabrał głosu, to jednak jego tiki nerwowe podwoiły się, nadto bez przerwy wygładzał serwetę na stole chociaż była idealnie rozprasowana. Na widok przewodnika naszej gromadki po „kaziuku" uniósł się znad stołu, wyciągnął swój chudy, pomarszczony palec i ostro wykrzyknął: „Nazwisko!"

— *To bardzo miły i grzeczny dzieciak* — wtrąciła się matka.

— *Nazwisko?* — powtórzył jeszcze bardziej srogim głosem.

A gdy speszony chłopak wybąkał w końcu z ledwo dosłyszalną końcówką — ciuk — dziadek naginając ucho domagał się zdecydowanie: Jak? Jak?!

Matka znów się wtrąciła: — *Dobre jak każde inne. Nasze też nie jest w Almanachu Gotajskim.*

Dziadek stukając energicznie palcem po stole groził: — Jak nie będzie tu mojej wnuczki za trzy godziny, to ustrzelę cie haniebnie jak zaparszywiałego kota. Słyszysz ty, na „ciuk"!

Matka łagodnie wypchnęła nas za drzwi na schody.

— *Tylko ostrożnie przez jezdnię* — ostrzegła.

Już na klatce schodowej chłopakowi nagle rozwiązał się język. Nie przypuszczałam, że miał taki długi, dosięgał nim mego dziadka. Z miejsca zaatakował: — A niech go na rojsty! A to dziad! On mnie ustrzeli? Niechby spróbował tylko. To ja mu z rogaty tak dołożę, tak podbiję jak wiewiórkę, że będzie kulał na jednej nodze".

Za „dziada", za chęć go okulawienia nie odezwałam się ani jednym słowem aż do granic rynku. Dalej nie udało mi się wytrwać w swym postanowieniu. Lataliśmy krok w krok za naszym przewodnikiem, obskakiwaliśmy każdy stragan, przekraczaliśmy do nieprzyzwoitości granice stad garczanych, zaglądaliśmy prawie w gardło każdego, spieraliśmy się o to, które z nich nadawały się do palm, które na kaczeńce, sasanki, aż zniecierpliwione naszym natręctwem garncarzowe żądały: „Pokażcie, ile macie pieniędzy?"

Wyskrobaliśmy z kieszeni drobniaki, otwieraliśmy garście, ale widocznie zbyt nikło błyszczało w naszych garściach, bo garncarze pędzili nas wyzywając z kolei naszych rodziców od dziadów kalwaryjskich.

Biegliśmy dalej pomiędzy nieciułkami, baliami, ceberkami, mijaliśmy stosy koszyków, drabiniaste wozy, kary, rozwałki, wprzęgliśmy wyimaginowane rumaki w te świeżutkie i białe jeszcze wozy i sanie, postaliśmy moment tu, pogapiliśmy się przez moment tam i zawracaliśmy do wozów z obwarzankami. Od zapachu wanilii słodko się robiło w ustach.

Wtedy upatrzyłam właśnie taki jeden wóz ze złocistą górą. Sięgałam do najzdolniejszych pokładów kieszeni po najbujniejszy pieniążek — po złotówkę, gdy chłopak spod „muszki" mego dziadka przeszkodził mi: „Popatrz na tego na wozie — szepnął — przecież to burtnik.

— *Jaki znów burtnik* — nadąsałam się — *jak ty mówisz?*

Nie mogłam wciąż oderwać oczu od wozu z obwarzankami.

— *No, niech będzie po twojemu czarodziej, a po mojemu burtnik. To przecież ten z Leszczynówki. Tylko teraz przyjrzyj się, ma czarną brodę, a miał siwą.*

Wciąż patrzyłam na górę obwarzanków: „Gdyby jakiś dobry czarodziej wyczarował taką górę za darmo dla nas" — marzyłam.

— *Patrzysz czy nie patrzysz?* — zniecierpliwił się.

Spojrzałem wreszcie we wskazanym kierunku. Nie miałam wątpliwości. To był burtnik spotkany w lesie gdy pewnego poranku jesienią pobiegliśmy do lasu na grzyby. Było rośno i mglisto. Niedługo przedarło się słońce. Ukośnie, świetlistymi promieniami wspierało się o ziemię. Grzybów nie było, ale były orzechy w bogatych skędzierzawionych osłonach. Szczególnie na jednej leszczynie. Była nietypowa: jednopienna, pokręcona. Podzielono się rolami. Chłopcy na drzewo, dziewczynki miały zbierać zerwane orzechy. Żadne jednak nie przewidziało, że leszczyna jest do tego stopnia krucha, że pod ciężarem chłopców załamie się. Gdy podnosili się rozcierając siące zjawił się stary człowiek z siwą brodą jakby wyrósł spod ziemi. Powiedział: „Przez was ktoś umarł".

Zdruzgotał nas tym swoim powiedzeniem. Zaniemówiliśmy. Patrzyliśmy jedno na drugie i mieliśmy miny baranów nagle wrzuconych do wody. Pierwsi odzyskali głos chłopcy. Przyznawali się do winy, ale nie do zarzucanej nam: „Złamaliśmy drzewo, bo kto by myślał, że taki suchy karcz. Pękło to jak szakal w ręku".

— *A ja wam powiadam, że przez was zginął człowiek.*

Brzmiało prawie ewangelicznie. I od tego powtórnego stwierdzenia na plecach i na czole skóra mi się zwijała jakby w drobne ciasno kręcone sznureczki.

Staruszek po chwili uzasadniał: „Każdy człowiek jest przywiązany niewidzialnym dla naszych oczu powrozem do jakiegoś drzewa. Oddycha jego zielenią, rozumiecie? Dlatego żyje. A złamie się jego drzewo to i koniec z człowiekiem. Tak to widzicie jest urządzony świat.

A wiewiórka, pies — podjął nieśmiało jeden z chłopaków — *mają również swoje drzewa?*

— *A mają,* — zapewnił gorąco.

Wtedy jeszcze nie rozumieliśmy o co chodziło człowiekowi z siwą brodą, ale odtąd las taki prosty, dający cień, chłód, orzechy, grzyby, a przede wszystkim najwspanialszy teren do zabaw, zaczął się niesamowicie komplikować. Widzieliśmy w wyobraźni wszystkie pnie sosen, świerków, leszczyny dotąd gołe, raptem omotane, zaplątane w jakieś świetliste, to znów barwy pleśni sznury na końcu których uwiązani byli ludzie. Świadomość tych uwiązanych, trzymających się kurczowo końców powrozów człowieczków zaczęła nam bardzo przeszkadzać. Coraz ostrożniej stąpaliśmy, a nasz bieg przez las już nie przypominał biegu rozhasanych koni. Robiło się w lesie niewygodnie, ciasno. Wyszliśmy na pole dobudowując sobie teorię, że te wiązadła na otwartej przestrzeni muszą być bardzo lekkie i wiatr je unosi do góry na wzór latawców.

— *On czy nie on?* — nalegał przewodnik.

— *Chyba on, zresztą zapytaj go czy przypomina takie zdarzenie* — podpowiedziałam.

— *Widzieliście ją, jaka mądra! To ty spytaj.*

— *Strach cię oblecial dlatego, że trzyma bat w ręku?* — prowokowałam. Wydął grube wargi — *Ani, ani.*

Zdecydowanie ruszył w kierunku wozu. Poszliśmy za nim całą gromadką. Przez jakiś czas manipulował przy drabinie, w końcu wykrztusił z siebie.

— *My z Leszczynówki, pamięta nas pan?*

Najwyraźniej nie mógł sobie nas przypomnieć. Dopiero gdy chłopak powiedział: — My wtedy złamaliśmy leszczynę i pan mówił, że...

— *A, a, tak! Już przypominam. Ano widzicie teraz spotykamy się na rynku. Na pewno więcej już nie ukrzywdziliście żadnego drzewka?*

„Dobrze mu podpowiedziałam" — chwaliłam siebie w duchu. Okręciłam się na pięcie, żeby zawrócić do wozów z obwarzankami. Następne pytanie naszego przewodnika po „kaziuku" było zaskoczeniem dla mnie. Dosłownie smagnięciem batem przez plecy.

— *A na te łyżki, miski i nieckl pan musiał również drzewo ściąć?*

— *Czego te dzieci chcą od ciebie?* — spytała kobieta otulona kraciastą chustą i siedząca obok na wozie.

Nakazał gestem ręki milczenie kobiecie.

— *Drzewa, które ściąłem* — wyjaśniał swym zrównoważonym i przyciszonym głosem jak wtedy na „Leszczynówce" — *były powiązane z komarami.* A komary, jak wiecie, należy tępić. Uczą was tego przecież już w szkole. Zabijacie je na waszych rękach, nogach. Po zabitych komarach drzewa są niczyje już.

— *Chryste Panie, co ty pleciess człowieku!* — wykrzyknęła płaczliwym głosem kobieta.

— *Siedź babo cicho jak nie rozumiesz!* — zgromił kobietę już mniej zrównoważonym głosem.

Zrobiło się nam lekko na sercu. A więc jest jeszcze jakiś wolny las, gdzie można biegać jak się chce, gdzie nie starga się żadnych wiązań. Stojąc jeszcze przy wozie przypomniałam takie zagłębia leśne pośród pagórków gdzie na pogodę unoszą się w wysokich słupach rojące się komary.

Później zrozumiałam, wszyscy zrozumieliśmy, że nas okpiono. Jeszcze później, że w baśni odbija się prawda jak w krzywym zwierciadle.

Onuta w kuchni zapala światło. Przez matowe szkło drzwi wpada do pokoju czyniąc poświatę. W fałdach zasłony zmiętej w ręku słyszę cieniutki śpiew komarzy. Zaplątał się w nie prawdopodobnie późną jesienią przylatując tu z lasów Kalwarii lub Bołtupia. Przeżył zimę.

Rozluźniam fałdy. Darowuję mu wolność. Może uda się mu przetrwać jeszcze do lata. Może uda mu się odnaleźć drzewo, uczynić je własnym zanim znów stanie się niczyim. Uśmiecham się. Jak daleko świat baśni jest poza mną.

Za oknami granat nocy mętnieje, spełza, zarysowują się kontury bliższych wieczorów, drzew. Jakby tu było krótsze przenikanie się nocy i dnia. Zapomniałam już o tym, że tu nie tylko ludzie lecz i przyroda zmierzała szybko do podziału na: białe i czarne, gorące i zimne, mokre i suche. Nie zdążę już na przedostatni lub ostatni rynek ze świeczkami. Zanim dojdę, zagaszą je.

DOROTA CHROŚCIELEWSKA

* * *

Przegnana przez cztery światy
przewiana przez cztery wiatry
Zamknięta na cztery spusty
ciężka jak serce
mgiełka
Niby nic A w niej wszystko
czemu nie dochowałam wiary
Moja wielka ojczyzna zanosząca się pieśnią
huczaca sztandarami
I język jej poezji giętki jak trzcina Pascala
Niby nic

Przy mnie maleńka ojczyzna
Brzydkie kobiety w welonach
siwego dymu we włosach
Brzydkie kobiety w woalkach
siwego pyłu na twarzy
Brzydkie panny w brokatach
z roztłuczonego szkiełka
Brzydcy mężczyźni pijący Brzydcy mężczyźni palący
po ulicach wloka zmięte cienie
Czasem promień ją włócznią przebija
A ja gdy późne rano ubielona firaną
patrzę Słucham jak życie mija
Cudze kraje i lądy Mgła co mgli się nią Londyn
Róże świecą w Seraju Tu nie znamy ich Raju
Ani tu się nieśpiesznie nie chadza Mostem Westchnień
Siwe dymu warkocze przesłoniły nam oczy
Może gdzieś za lasami Może gdzieś za górami
warkoczasta pannica bawi się z chłopakami

Przepędzę przez cztery światy
Rozwieję prze cztery wiatry
Znów się do mgiełki nie przyznam
Byleby była koło mnie
choć taka
maleńka
ojczyzna

* * *

Stara książka Czytana w ciszy W samotności
Stara niedobra książka Nic z niej nie wynika
Piękny dwudziestoletni Ale nie w bamboszach
Piękna dwudziestoletnia Ale nie przy garach
Tylko czemu ma moje kokardy w swych włosach
A on ma swoje oczy w twoich okularach
Są szczęśliwi jak rzadko
Szczęśliwi jak nikt

Dawałeś Boże wino Teraz dajesz wodę
lub kompot letni gdy trzeba goryczy
Kazałeś mówić szeptem A tu trzeba krzyczeć

Ulituj się nad nami

* * *

Ciało takie dorodne
a dusza ciała nie chce
Przywiązałam tę duszę
na zielonej wstążeczce

Jedwab szumi jak morze
Toń się mieni Mój Boże
Gdybyś wstążki nie chciała
to byś oczu nie miała

Nocą nieba wysokie
przyfruwają do okien
Świtem trawa wilgotna
Mgła różowa u okna

Przez dzień cały z mozołem
szczęście łamie mnie kołem
Tylko z tobą się zmagam
niczym Jakub z Aniołem

Mgła od rana różana
Noc gwiazdami rzęsista
Chcesz to głupia utracić
A co wtedy ja zyskam

U LUSTRA

Przyjdzie sen nieprzespany
w pościeli nieprzebranej
Niech się mrówka mną pożywi
Niech się ziemia mną napije
Niech mną młody las zmężnieje

Mrówka padnie i przepadnie
bo być mrówką nie jest dumnie
Las wysoki zestrugają
na kołyskę i na trumnę

Z mojej ziemi będzie glina
Moja glina będzie biała
Lecz broń Boże tchnąć w nią ducha
bo to krucha porcelana

Wtedy nic nie będę miała
Ani powiek do spuszczenia
Ani oczu do zmrużenia
Ani do kochania ciała
Ani duszy do stracenia

Ale za to będę miała
milion lat i miliard lat
Będę lata świetlne miała

Wtedy nic nie będę miała
Ani duszy Ani ciała
Ni sukni do pocieszenia

EWENEMENT KATARZYNY KOBRO

(Dalszy ciąg ze str. 1)

prace zyskują miano *alfabetu całkowicie nowej organicznej architektury (Olle Granath).* Wielu krytyków amerykańskich, m. in. *Hilton Kramer i Patricia Kaplan,* omawiając osiągnięcia *Kobro* odwracają ustaloną w Polsce hierarhię małżeństwa i sztuki *Strzemińskich,* pisząc o wyjątkowych dokonaniach *Katarzyny Kobro* i jej męża *Władysława Strzemińskiego.* Podsumowanie zwycięskiego marszu dzieł *Kobro* przez światowe galerie sztuki, stanowi zorganizowana niedawno, wystawa *The Planar dimension* w Muzeum Salomona R. Guggenheima w Nowym Jorku, na której jej *Kompozycje przeostrzenne* stanowią podsumowanie artystycznych prób opanowania przestrzeni w kostruktywistycznej rzeźbie europejskiej, są jej ostatecznym osiągnięciem.

Z pełną odpowiedzialnością stwierdzam, że takiej oceny krytyki światowej doczekało się zaledwie kilku artystów związanych z kulturą polską, a *Katarzyna Kobro,* z punktu widzenia zainteresowania jakie na całym świecie wywołuje jej twóarczość, od Stanów Zjednoczonych po Japonię, jest niewątpliwie pierwszą damą polskiej sztuki.

W rodzimej krytyce artystycznej i historii sztuki dokonania *Kobro* ciągle pozostawiane są na uboczu. Autorzy prac, poruszających problemy awangardy międzywojennej, zaznaczają jej obecność bardziej z konieczności, niż z rzeczywistej potrzeby określania tej nieprzeciętnej osobowości. Jednym z powodów, dla których indywidualne osiągnięcia *Kobro* nie zyskały sobie powszechnego uznania, była specyficzna atmosfera, jaka wytworzyła się wokół poszukiwań awangardy i w następstwie spowodowała schematyczną zasadę oceny dorobku poszczególnych twórców poprzez pryzmat legendy artystycznej *Władysława Strzemińskiego.* Jego praca artystyczna ,teoretyczna i publicystyczna zaważyła poważnie na obliczu plastyki polskiej kształtowanej w latach następnych przez kolejne grupy twórców młodszej generacji. Postać *Strzemińskiego* w opinii ogółu, górowała nad innymi przedstawicielami awangardy, a twórczość *Kobro* pozostawała w cieniu jego indywidualności. Większość zwolenników wybitnych osiągnięć *Strzemińskiego,* do praktyki artystycznej *Kobro* odnosiła się z dystansem ,przyjmując z niedowierzaniem jej nowatorskie układy przestrzenne, których autorstwo chętnie przypisaliby *Strzemińskiemu.* Innym ważnym powodem, dla którego dorobek artystyczny *Kobro* tak długo nie mógł uzyskać należnej mu oceny, były tragiczne wydarzenia drugiej wojny światowej. Twórczość *Kobro,* podzieliła los dzieł innych artystów polskich, znaczna część prac zaginęła, wiele z nich, w myśl zasad głoszonych przez propagandę hitlerowską odmawiającą jakichkolwiek wartości sztuce abstrakcyjnej, rozmyślnie zniszczono. Możliwość poznania pracy artystycznej *Kobro* została sprowadzona do minimum. Ale i ta zachowana w ułamku twórczość, doczekała się jak najwyższej oceny.

Konstruktywizm w ujęciu *Kobro* nie podlegał bezpośrednio utylitaryzmowi. Jej zdaniem, głównym celem twórczości artystycznej powinno być dążenie do osiągnięcia coraz to doskonalszej formy, pomijając możliwość natychmiastowego wykorzystania produktów sztuki w przemyśle. Rzeźba — stanowiąca eksperyment plastyczny na drodze stałego rozwoju sztuki, pozornie nie mająca żadnego praktycznego zastosowania, poprzez opanowanie środków współczesnej industrializacji może decydować o przyszłym kształcie masowej sztuki użytkowej. Każda z konstrukcji rzeźbiarskich była w swojej istocie modelem przestrzennych rozwiązań architektonicznych.

Specjalną rolę w laboratoryjnych poszukiwaniach *Kobro* odgrywa przestrzeń. Łączność otwartych kompozycji rzeźbiarskich z przestrzenią stanowi dla niej podstawę pracy twórczej, punkt wyjścia do dalszych dociekań nad barwą i strukturą materialną komponowania form. Jej tworczość z lat dwudziestych i trzydziestych osiąga już stopień wtajemniczenia, który *Henri van Lier* określa dopiero u progu lat sześćdziesiątych pojęciem *L'art de l'espace* (sztuka przestrzeni), a najwierniejszy przyjaciel obojga *Strzemińskich* formułuje pod hasłem *rzeźba napowietrzna.*

Przestrzeń zawsze odgrywała ważną rolę w rzeźbiarskim kształtowaniu formy, ale dopiero twórczość *Kobro* nadała temu pojęciu sens zupełnie nowy. Wyzwolenie się od jednostronnego operowania bryłą otworzyło nowe możliwości, stało się wręcz nieodzowne dla nawiązania bezpośredniego kontaktu z naturą. *Kobro* w swoich czystych strukturach rzeźbiarskich potrafiła wykorzystać badania nad budową materii, stosując w praktyce niezwykle proste zasady konstrukcji, stawiając hipotezy sięgające daleko w przyszłość Wielu krytyków przenosi założenia obrazów unistycznych *Strzemińskiego* na rzeźbę *Kobro,* chociaż nigdy, ani w swej budowie, ani w założeniach, nie dawały ku temu powodu Rzeźba, jako miejsce kondensacji formy, jako źródło energii przekazywanej w przestrzeń, była całkowitym przeciwieństwem koncepcji unizmu *Strzemińskiego.* Doświadczenia nad rzeźbami, a później kompozycjami przestrzennymi, następowały spontanicznie, bez zewnętrznych uwarunkowań, a precyzyjne laboratorium badawcze zostało włączone w ich budowę dopiero w końcowej fazie procesu tworzenia, w momencie przeradzania się rzeźb w instrumenty mające organizować zasady przyszłej architektury.

Podstawę harmonii wizualnej komponowanych przez nią form przestrzennych stanowią proporcje arytmetyczne zaczerpnięte bezpośrednio z natury. Rzeźby *Kobro* oparte są na podobieństwie strukturalnym i spełniają wszelkie warunki dzieł obliczanych matematycznie, ale matematyczna formuła zastosowana do ich konstrukcji jest jednocześnie formułą życia, którą można odnaleźć w każdej strukturze biologicznej, stąd ciągłe nawiązywanie do złotego podziału do liczb istniejących w budowie żywych organizmów. Właśnie w sztuce możliwe jest realizowanie tak pojętej filozofii istnienia, przemiany form struktury organicznej w nadstrukturę estetyczną. *Kobro* zdecydowanie wyprzedziła poszukiwania współczesnych, dodała nowy rozdział do historii rozwoju form rzeźbiarskich, jej rzeźby realizują odwieczne pragnienie pokoleń twórców, panują nad nieskończoną przestrzenią, wznoszą do niej własne rytmy i podziały. Znaczenie dokonanego przez Kobro *skok w przestrzeń* można porównać tylko do najwybitniejszych osiągnięć światowej awangardy — suprematyzmu *Kazimierza Malewicza* i neoplastycyzmu *Piotra Mondriana.*

Wszystkich, którzy chcieliby na własne oczy zobaczyć jakie uznanie współczesnych otacza *Katarzynę Kobro,* tych którzy mają wątpliwości czy rzeczywiście działalność artystki nie jest w wystarczający sposób uhonorowana obecnością jej prac w ekspozycji muzealnej, kieruję na łódzki Cmentarz na Dołach, gdzie pod betonowym płotem w skromnej ziemnej mogile została pochowana najwybitniejsza rzeźbiarka polska.

JANUSZ ZAGRODZKI

był jazz

rozmowa z Feliksem Falkiem

Feliks Falk — reżyser filmowy. Po „Szansie" i „Wodzireju" — filmach które zyskały ogromne uznanie wielu znawców, a także ogromną rzeszę widzów kinowych, rozpoczął zdjęcia do swojego filmu pt. „Był jazz".

Andrzej Wojciechowski — dziennikarz, absolwent Wyższej Szkoły Filmowej, muzyk z zespołu „Melomani".

A. W. — Jest pan człowiekiem młodym i o latach, w których muzyka jazzowa była „owocem zakazanym" z własnego doświadczenia wie pan bardzo mało, lub prawie nic. Był to przecież początek lat pięćdziesiątych. Ile miał pan wtedy lat?

F. F. — Dziewięć. Wydaje mi się jednak, że problemy społeczne początku lat pięćdziesiątych są dziś mojemu pokoleniu bliskie. Żyje przecież wielu ludzi, którzy w tych właśnie latach wchodzili w wiek młodzieńczy. Powszechnie dostępne są czasopisma, gazety itp., z tamtego okresu. Wiedza o życiu lat pięćdziesiątych jest więc łatwa do osiągnięcia. Jest to także czas, w którym w Polsce działo się bardzo wiele, mimo iż powszechnie uważa się go za „niezbyt pomyślny w rozwoju Polski"

Od dawna chciałem zrobić film o latach 1950—1954. Jest to moim zdaniem okres, który czeka na wypełnienie w każdym rodzaju sztuki. W literaturze, publicystyce, a także w filmie. Niewątpliwie przeciętny młody Polak wie o latach pięćdziesiątych bardzo mało, lub wręcz nic. Dla filmu, tak to czuję, jest to temat wspaniały.

A. W. — Dlaczego wybrał pan właśnie jazz? Jako temat charakterystyczny dla tamtych lat?

F. F. — Staram się szukać dla swojego filmu tematu atrakcyjnego. Takim tematem jest niewątpliwie muzyka jazzowa. Przedstawienie spraw społeczno-politycznych tamtych czasów także daje szansę powodzenia u widza. Poza tym uważam jazz za ten rodzaj sztuki, który w latach 1950—1954, był jedynym walczącym frontem w sztuce w Polsce. W budownictwie mamy takie „wspaniałości" jak Pałac Kultury i Nauki, czy MDM w Warszawie. Literatura także zgodziła się łatwo na propagowanie tzw. socrealizmu. Podobnie było z muzyką rozrywkową. Jedynie jazz, bronił się skutecznie. Ludzie, którzy uprawiali jazz, czy byli sympatykami „zakazanej muzyki" muszą być zaliczani do grona walczących o idee.

A. W. — Powiedział pan, że nie było jeszcze w Polsce filmu politycznego o latach pięćdziesiątych. A „Człowiek z marmuru"?

F. F. — Oczywiście. Mnie tu jednak bardziej chodzi o kulturę tamtego okresu. „Był jazz" jest pierwszą tego rodzaju próbą w kinematografii polskiej.

A. W. — Nadal nie bardzo wyobrażam sobie jak można napisać scenariusz o czasach, które nie są jeszcze na tyle historyczne, że można mieć w zasięgu ręki wiele materiałów opracowanych przez specjalistów. Z drugiej strony — nie ma pan odpowiedniego bagażu własnych przeżyć...

F. F. — Właśnie po to powstaje film „Był jazz", aby moi następcy materiał mieli. Napisanie scenariusza poprzedziło oczywiście wiele żmudnych przygotowań. Wiele rozmów z naocznymi świadkami wydarzeń. Lektura czasopism itp. Tak się dobrze składa, że mam oparcie o konkretne wydarzenia. Myślę o zespole „Melomanów", który działał w pierwszych latach pięćdziesiątych. Pan zresztą te sprawy także doskonale zna, jako jeden z „Melomanów".

A. W. — Musi pan jednak sobie zdawać sprawę z tego, że jeśli tworzy pan film o „Melomanach" to wyjdzie panu film polityczny. Nasz zespół był zespołem jazzowym, walczącym z negatywną opinią w prasie codziennej, z różnego rodzaju działaczami społecznymi i politycznymi, którzy uprawianie jazzu uważali za coś złego, a nawet wrogiego kulturze socjalizmu. Dziś to oczywiście może wzbudzać śmiech, ale tak było. Jazzmani i jazzfani to była „solidarna sitwa" jak kiedyś powiedział Stefan Kissielewski, która nie przeszkadzała rozwojowi socjalizmu w Polsce, ale po prostu chciała uprawiać i kultywować inny rodzaju muzyki — niż pieśń masowa czy wszelkie „kantaty ku czci".

F. F. — Mój film będzie z całą pewnością filmem politycznym. Bo tak zamierzyłem właśnie dramaturgię filmu. To co chcę zrealizować to opowieść o grupie młodych ludzi, którzy przeżywają cały szereg konfliktów wewnętrznych różnej natury. Także politycznych.

A. W. — Czy w pana filmie bohaterami są „Melomani"?

F. F. — I tak i nie. W filmie opałem się na materiale dokumentalnym, związanym w dużym stopniu z „Melomanami". Moimi bohaterami są młodzi ludzie. Tworzą zespół muzyczny, który ćwiczy, gra na zabawach itd. Ale w rzeczy samej, jest to oczywiście filmowa fikcja, która w moim filmie kończy się tragicznie. Z prostej przyczyny nie będę opowiadać filmu, bo wolę żeby widz przyszedł do kina i zobaczył na własne oczy, jak ja zobaczyłem w swojej wyobraźni, po trzydziestu latach, rok 1950. Być może wielu ludzi, którzy przeżyli tamten okres, nie zgodzi się ze mną po obejrzeniu filmu. Być może wiele spraw było rozwiązywanych nieco inaczej niż ja to pokazuję. Ale trzeba takie ryzyko podjąć, jeśli się chce zrealizować dzieło sztuki.

A. W. — Cały czas mówimy o ideologii filmu, ale przecież „był jazz...".

F. F. — Jazz jest równoległym wątkiem filmu, można powiedzieć — drugim bohaterem. Będzie go w moim filmie bardzo dużo. Będą sekwencje jamsession, nocnych grań itp. Prawie pół godziny muzyki. To naprawdę dużo muzyki. Traktuję mojego muzycznego bohatera bardzo poważnie. Oczywiście utwory będą wyłącznie oryginalne, stare standardy jazzowe, nagrane przez dobry zespół muzyczny „Old Timers".

A. W. — Jak wiem, konsultantem muzycznym w pana filmie jest Jerzy Matuszkiewicz...

F. F. — Właśnie. Były „Meloman". To mi bardzo ułatwia sprawę. Bardzo wielką pomoc okazał mi Jerzy Matuszkiewicz w doborze utworów. Poza tym Matuszkiewicz, znający przecież jak nikt, czasy o których traktuje nasz film, dołożył do fabuły wiele interesujących faktów z życia „Melomanów", a także z życia „rodziny jazzowej" w Polsce.

A. W. — Zdjęcia do filmu robi drugi „Meloman", Witold Sobociński... Czy nie przeszkadzają panu jego wiedza i przeżycia z lat pięćdziesiątych?

F. F. — Co by pan wolał: być biednym i chorym, czy bogatym i zdrowym?

A. W. Jestem biedny i chory...

F. F. — A ja, mając Sobocińskiego u siebie, jestem bogaty i zdrowy. Poza tym, że jest on doskonałym operatorem, potrafi z racji swoich doświadczeń, fotografować muzykę i muzyków. Jestem przekonany, że nie ma takiego drugiego w Polsce operatora, który potrafi to tak dobrze jak Witold Sobociński.

A. W. — Na dobrą sprawę pański film ma szansę być unikatem światowej klasy. Robiąc film o „Melomanach", ma pan do dyspozycji dwóch muzyków z tego zespołu, a co więcej obaj są filmowcami. Przecież Matuszkiewicz jest także operatorem filmowym...

F. F. — Nawet dziennikarz robiący ze mną wywiad jest także „Melomanem" i filmowcem. To rzeczywiście niecodzienny zbieg okoliczności. Ale wracając do filmu. Obaj, i Matuszkiewicz i Sobociński są mi bardzo pomocni w codziennej pracy. Przecież oni wiedzą najlepiej jak wyglądały ubiory, uczesania i jak była gwara muzyków jazzowych w tamtych czasach. W filmie będzie sporo zwrotów gwarowych, co niewątpliwie zbliży bardzo fabułę filmu do realiów okresu, o których mówi film.

A. W. — Jak się zachowuje Sobociński, kiedy na planie muzycy grają jazz?

F.F. — O, jest bardzo podniecony. Widać, że to jazzman. Wie pan, on wozi ze sobą gitarę i po zdjęciach, w hotelu, po emocjach na planie, podgrywa na „wesołym drzewie" jak za starych dobrych lat.

A. W. — Z doświadczenia wiem, że w filmach muzycznych największym problemem dla realizatorów są aktorzy, którzy mają udawać, że potrafią grać na instrumentach, które im daje do ręki reżyser...

F. F. — Zaangażowałem do filmu młodych aktorów po szkole aktorskiej. Są mało znani szerokiej publiczności. Po kilku tygodniach zdjęć jakie już mam za sobą, stwierdzam że wybrałem dobrze. Są to bardzo zdolni młodzi ludzie. Co więcej, każdy z nich potrafi naprawdę grać na instrumencie na którym gra w filmie. Bardzo wybredny pod względem „podkładania" muzyki Sobociński, wyraża się o nich po kolejnych projekcjach materiałów zdjęciowych w samych superlatywach.

A. W. — Dlaczego wybrał pan Łódź na miejsce akcji swojego filmu?

F. F. — Po pierwsze w Łodzi coś takiego działo się naprawdę. Istniał przecież zespół „Melomanów". A po drugie dlatego, że w Łodzi czuję specyficzny klimat, nazwałbym go niekorzystnym dla rozwoju wszelkiej sztuki. Zaobserwowałem, że „każdy dobry" stara się z Łodzi wyjechać, szukając szansy dla siebie gdzie indziej. Będzie więc moja filmowa opowieść dotykała spraw natury kulturotwórczej. W filmie, muzycy jazzowi przebijają się przez barierę niemożności i niechęci różnych czynników oficjalnych i półoficjalnych.

A. W. — Czy wie pan, że zespół „Melomanów" pierwszy swój koncert oficjalny w Łodzi zagrał po czterech latach istnienia, kiedy już miał za sobą na koncie występy w Gdyni, Wrocławiu, Warszawie, Poznaniu?

F. F. — Nie wiedziałem. To jednak utwierdza mnie w moim przekonaniu. Zresztą w pewnym sensie niechęć Łodzi do tego co nowe odczułem na „własnej skórze". Bardzo chłodno, a moim zdaniem wręcz fałszywie, przyjęta została reżyserowana przeze mnie sztuka w Teatrze Nowym pt. „Przeprowadzka". A jest to przecież świetna sztuka. Tyle, że może zbyt ostra obyczajowo jak na gusty łódzkie.

A. W. — Film „Był jazz" będzie niewątpliwie oglądany przez różną publiczność. Na film przyjdzie z pewnością grupa jazzfanów i muzyków, którzy przecież dobrze pamiętają okres „jazzu podziemnego". I powiem panu, jest to jeszcze rzesza ogromna. Przyjdą też ludzie młodzi, którzy jazz znają z nagrań radiowych, płyt i taśm. Czy uważa pan, że film zaspokoi oczekiwania wszystkich?

F. F. — Myślę że tak. Dla jednych i dla drugich będzie sporo do słuchania i oglądania. Nie mówiłem jeszcze o warstwie filmu, którą my roboczo nazywamy „soc", jest to skrót od socrealizmu. Chodzi tu o pieśni masowe, piosenki i atmosferę zabaw „soc", czyli takich, które były uważane w latach pięćdziesiątych za „programowe". Tak więc i „soc — widzowie", jeśli przyjdą na film, będą mogli skonfrontować, swoje gusty i poglądy wyznawane przed trzydziestu laty.

A. W. — Żeby tylko chcieli przyjść. Sam będę ciekaw reakcji tych ludzi. Opowiem panu coś z własnego doświadczenia. Kiedy graliśmy na zabawach w Wyższej Szkole Filmowej, zwłaszcza na tzw. „balach oficjalnych", zawsze przy wejściu do szkoły stał na „oku" nasz człowiek. Kiedy u wrót pojawiał się „czynnik oficjalny" z ZMP, czy też z dzielnicy, „oko" natychmiast dawało nam „cynk". Zamiast klasycznego jazzu, „Melomani", „nawijali" kujawiaka lub walca „Na falach Amuru". Z odejściem oficjała, na salę wracał ten stary poczciwy jazz. Takie były czasy.

F. F. — O tym także będzie mój film.

A. W. — Ostatnia pana wola w tej rozmowie...

F. F. — Ostatnią sceną w filmie jest spotkanie wszystkich członków zespołu „Melomani" Nie opowiem w jakiej sytuacji nastąpi spotkanie. Będzie to z całą pewnością zaskoczenie dla widzów. Tym akcentem chcę oddać ukłon w stronę wszystkich tych, którzy grali jazz w tamtych latach, a także wszystkim, którzy tworzyli klimat dla jazzu w latach 1950—1952. Oczywiście zapraszam pana jako byłego „Melomana" do udziału w tej scenie.

A. W. — Dziękuję za zaproszenie i za rozmowę.

Rozmawiał: ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI

„Był jazz". F. Falk na planie.

Foto: Wyrożębski

ODYSEA ŁÓDZKICH „ZAWISZAKÓW"

SERGIUSZ JAŚKIEWICZ 1

1.

W maju 1943 było ich sześćdziesięciu. Wywodzili się z różnych warstw społecznych, przeważnie jednak byli dziećmi rodzin robotniczych z Widzewa i Chojen, Bałut i Karolewa. Przed Wrześniem zdążyli pokończyć 3 lub 4 oddziały szkoły podstawowej. We Wrześniu mieli po 10 — 11 lat. W 1943 roku okupant hitlerowski uczynił z nich ludzi dorosłych, zmuszając do pracy niewolniczej w przemyśle zbrojeniowym. Z nakazu Arbeitsamtu mieli stać się przyuczonymi „Feinmechanickerami" w wytwórni sprzętu lotniczego koncernu Askania. Ich dziecięce dłonie postanowiono wykorzystać do produkcji precyzyjnych elementów śmiercionośnego sprzętu Luftwaffe.

Zakłady Askanii przemieszczone zostały do Łodzi z głębi Rzeszy podobnie jak filie Kruppa, Siemensa i Bawarskiej Fabryki Silników. W macierzystych ośrodkach były one bowiem w tym czasie nazbyt już narażone na naloty bombowe aliantów. Jeden z łódzkich zakładów Askanii mieścił się na Hrabiowskiej (obecnie Proletariackiej), drugi na Flotwella (Łąkowej 3/5). Przypadkiem — albo i nie! — zlokalizowano go na przeciw osławionego już od pierwszych dni wojny „Durchgangslagru" dla jeńców i przesiedleńców.

Po raz pierwszy spotkali się chłopcy w specjalnej hali „szkolnej" na Hrabiowskiej, w grupie 40-osobowej. Reszta doszła po „przeprowadzce" na Łąkową. Od pierwszej chwili poddano ich rygorom klasycznego „Ordnungu" pracy niewolniczej, co najmniej dziesięciogodzinnej. Pod bezustannym nadzorem surowych niemieckich majstrów, „wyciskających" produkcję bezlitośnie, z panicznego strachu przed „Ostfrontem".

W tej samej hali pracowała większa ilość dorosłych polskich robotników przymusowych. W ich gronie znalazł się jeden szczególnie życzliwy i pomocny chłopcom w każdej potrzebie, „pan Lolek". Umiał być dyskretnym a czujnym opiekunem, zachowywał się jak kolega, choć był już — zdaniem chłopców — stary. Miał przecież, bądź co bądź, 25 lat. Był widzewiakiem. Znał się na sporcie, potrafił gawędzić, oraz nucić marszowe piosenki. Umiał trochę po niemiecku, zażegnywał więc raz po raz awantury i kuksańce, grożące chłopakom przy najmniejszym choćby niezrozumieniu wydawanych im poleceń. Dziwnym trafem przy przeprowadzce na Łąkową „pan Lolek", choć dorosły, przeszedł razem z nimi...

„Lolek" był przed wojną podharcmistrzem, drużynowym XI Łódzkiej Drużyny Harcerskiej. A już w grudniu 1939 znalazł się w konspiracyjnych Szarych Szeregach. Program Szarych Szeregów przewidywał obowiązek czynienia wszystkiego, by „zachować najmłodszych Polaków na Jutro". Trzeba było dzieciaki chronić — w miarę możliwości — przed okropnościami wojny, a mimo to budzić w nich odporność, bronić przed fizycznymi i psychicznymi zagrożeniami. Przed wszelką deprawacją. Przed lekkomyślnością i zbytnią łatwowiernością. Trzeba było chłopaków uczyć patriotyzmu, ale i rozwagi. Dzielności i zaradności, jednak bez nonszalancji. Należało pobudzać w nich narodową i społeczną świadomość, ale i uczyć rozsądku w działaniach. Trzeba im było przybliżać co tylko można — z historii, geografii, kultury narodowej, — choćby tylko przez gawędę. Należało im wdrażać samodyscyplinę, umiłowanie ładu i porządku, oraz chęć do rozwijania sprawności fizycznej... Wszystko więc co czyni i zamierza czynić „pan Lolek", jest niczym innym, jak tylko wypełnieniem Przyrzeczenia, które jako harcerz składał dwukrotnie. W warunkach pokoju i wojny...

Skorzysta zatem „pan Lolek" na Łąkowej z szansy jeszcze większego zbliżenia się do chłopców. Zapisuje się na przeszkolenie przy tokarkach z nadzieją, że będzie następnie „szkolić" młodszych. Udaje mu się to bardziej, niżby sam zamarzył. Kierujący warsztatem inżynier niemiecki, którego interesuje wyłącznie dobra robota, zwraca uwagę na „fachowe zacięcie" Leona i sam wpada na pomysł, aby obarczyć go funkcją pomocniczego instruktora chłopaków, z którymi przecież tak trudno się dogadać.

Teraz już nie wzbudza podejrzeń żadna rozmowa „pana Lolka" z nimi, czy to w grupie, czy pojedyńczo. Zawsze jest jakiś służbowy powód. Chłopcom w to graj... Niezadługo wejdzie w zwyczaj „odprowadzanie" szefa do domu małymi, zmieniającymi się grupkami. I tak to zaczną wspólnie przemierzać niekoniecznie najkrótsze trasy i nie najprostsze drogi będą ich wspólnie wiodły do celu... Na wyludnionych, starych boiskach Widzewa, w laskach i parkach, nad odległymi od miasta stawami i na podmiejskich łąkach, zbierać się będą — dla sportu i ćwiczeń fizycznych. Dla gawęd o dziejach Polski, jej ziemiach i ludziach, o sposobach poruszania się i orientacji w nieznanym terenie. Dla wymiany lektury, albo nauki polskich pieśni. Dla poznania harcerskiego prawa i sprawności... Spotykać się będą zrazu od przypadku do przypadku, później — regularnie — co sobotę...

U schyłku lata 1943 roku Leon zameldował komendantowi konspiracyjnej łódzkiej Chorągwi „Kominy", harcmistrzowi Dominikowi Patorze, możliwość i gotowość restytuowania na terenie Askanii XI ŁDH, jako drużyny „Zawiszy" (w nomenklaturze Szarych Szeregów — harcerze grupy wiekowej 12—15 lat). Uzyskał na to zgodę. 13 sierpnia 1943 roku „pan Lolek", czyli podharcmistrz Leon Lewandowski, odbiera w Askanii Przyrzeczenie Harcerskie od pierwszej czwórki chłopców: Olka Ulkowskiego, „Polka" Jarosika, Zdziśka Surowieckiego i Heńka Kaczora. Warunki konspiracji wymagały wtajemniczeń etapowych. Kolejne zaprzysiężenia miały nastąpić wkrótce...

II

Łódź, już połowa sierpnia 1944 roku. Z dnia na dzień narasta kolejna fala aresztowań (niewątpliwie nie bez związku z wyzwoleniem „Polski Lubelskiej" oraz Powstaniem Warszawskim). Trwają zmasowane operacje w rejonie stacji Łódź-Karolew, gdzie mnożą się akty wysadzania w powietrze pociągów ze sprzętem zbrojeniowym i materiałami pędnymi. Całe rodziny kolejarskie przechodzą przez izby tortur w siedzibie gestapo na Anstadta (dziś 19 Stycznia), przez osławione cele przesłuchań w więzieniu na Sterlinga, obóz w Radogoszczu, „wychowawczy obóz pracy" na Sikawie. SS tropią także najmłodszych konspiratorów z Szarych Szeregów, przemycających na Sikawę środki opatrunkowe i lecznicze, żywność, odzież i gazetki, a także uprawiających tzw. mały sabotaż w większości zakładów przemysłowych miasta. Między innymi w Askanii...

...W Askanii na Łąkowej nie tak dawno przyłapano chłopca z grupy polskich „uczniów zawodu" na gorącym uczynku przekazywania żywności więźniom z Sikawy, wykonującym na fabrycznym terenie ciężkie prace budowlane. Skończyło się to na krwawym pobiciu, nazwanym łagodną perswazją przez egzekutorów z lokalnej, na szczęście, „wachy" zakładowej. Była też wpadka z gazetką „Askańczyk", sprawę z trudem zdołano zatuszować... Toteż, kiedy 14 sierpnia 1944 roku rozległ się w Askanii gong zwiastujący ewakuację zakładów wraz z całą ekipą roboczą w głąb Rzeszy, zwyciężyła wśród chłopców opinia, iż — być może — nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. „Pan Lolek" opinię tę podzielał: Wyłamanie się spod nakazu ewakuacji musiało grozić najsurowszymi represjami gestapo tak wobec dezerterów jak i ich rodzin.

Chłopcy więc — jak było ich sześćdziesięciu — odnaleźli się i teraz, w zwartej grupie, na miejscu wyjazdowej zbiórki. — Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego! — jak przystało na rodzinę (drużyna w nomenklaturze Szarych Szeregów). Choć łzy w oczach nie mogły się nie kręcić: do utraty dzieciństwa dochodzi przecież teraz utrata domu rodzicielskiego, rozłąka z rodzinnym miastem i krajem. Czy, kiedy i jaki powrót — któż to wie? Pewne jest tylko jedno: wojna, niewola, obczyzna...

Pociąg ewakuacyjny wiozący m. in. robotników Askanii do nowych miejsc przeznaczenia opuszcza Łódź Kaliską. Nie jest ocechowany żadną tablicą kierunkową. Nie wyjaśnia niczego również megafonowa zapowiedź dyspozytora ruchu: — Sonderzug Abfahrt! — Pociąg specjalny odjazd!... Przed przymusowymi podróżnikami wiele dziesiątek godzin jazdy. Dopiero między Kaliszem a „Lissą" (Lesznem) ktoś z niemieckiej eskorty bąknie: — Jedziemy na Magdeburg! — Jednakże wysiadać będą w Helmstedt. Ktoś mówi, że są tu kopalnie soli...

Przyjdzie im tutaj, w Helmstedt-Beendorf, zetknąć się ze sprawami, które w dotychczasowej edukacji wojennej były im jeszcze dotąd oszczędzone. „Przez ścianę" sąsiadować będą ze skazańcami w pasiakach. Zobaczą dno upodlenia i szczyty zbrodni. Będą świadkami katowskich praktyk. Przeżyją niejeden szok, zostawiający trwały ślad w psychice. Z narażeniem życia będą nieść pomoc „napiętnowanym" różnej narodowości i rasy, zupełnie nieoczekiwanie zdając dramatyczny egzamin pełnej dojrzałości. Będą głodować, gasić pragnienie wodą z zakażonych kloak. Będą wypluwać płuca, będą im gniły ciała. Będą wieść życie kretów w świecie bez nadziei, poza tą jedną jedyną, skrytą w głębi własnych serc...

III

W konspiracyjnej „Kronice drużyny" jest m.in. taki zapis Wieśka Lelińskiego: — „...Zjechałem do kopalni ostatni ze wszystkich. Przedtem dostałem „werkpass" i numer (...) Przyjechała mała winda (...) Zamknięto kratę, dano sygnał i nagle zapadłem się pod ziemię (...) Po wyjściu z windy, biegnąc przez torowiska, poczułem że jestem jakby głuchy (...) Byłem ponad 600 metrów pod ziemią (...) Biegłem labiryntem ciemnych chodników, aż znalazłem się w ogromnej sali, wysokiej na jakieś 15 metrów. Sufit skrzył się kryształami sali, po ścianach obficie sączyła się woda. Na wylanej betonem podłodze ustawione rzędami maszyny... Skierowano mnie do hali montażu. Tutaj ludzie zastępowali maszyny. Dostałem pracę przy ciężkich kablach (...) Po 12 godzinach nareszcie nas wypuszczono. Musiałem w ciemnościach, po stromych schodach i drabinach zejść jeszcze 4 piętra w dół, by trafić do właściwej windy. Rozwaliłem sobie głowę. Poraniłem nogi, poharatałem ręce (...) Dopiero wieczorem pan Lolek założył mi opatrunki. Tak minął mój pierwszy dzień w kopalni".

W tejże „Kronice" zanotował Leon Lewandowski: „Teren obozu nazywano „Munawerke". Umieszczono nas w ponurych, przedzielonych betonowymi ścianami halach, przeznaczonych w zasadzie na składy amunicji. Obóz liczył kilka tysięcy ludzi. Najwięcej było Polaków. Byli też Rosjanie, Francuzi, Czesi, Belgowie, Holendrzy. Na tym samym terenie, w bezpośrednim sąsiedztwie, za naelektryzowanymi drutami znajdowały się: obóz jeńców radzieckich, oraz filia jakiegoś obozu koncentracyjnego".

„Arbeitslager Helmstedt-Beendorf", pod kryptonimem „A III" znajdował się w rzeczywistości — od marca 1944 — w nomenklaturze obozu koncentracyjnego Hamburg-Neuengamme. Komendantem tego obozu był w owym czasie Obersturmbannfuehrer Pauly, na początku wojny — komendant Stutthofu k. Gdańska. Lagerfuehrerem — Anton Thuman, uprzednio kat Majdanka. Szefem wszystkich filii tego kacetu oraz przyłączonych „Arbeitslagrów" — Obersturmfuehrer Arnold Strippel (aktualnie — w Duesseldorfie — na ławie oskarżonych za zbrodnie na Majdanku, — przyp. aut.). Ta wielka trójka ludobójców mianowała komendantem w Helmstedt Obersturmfuehrera Poppenhagena, zaś tzw. Rapportfuehrerem — Unterscharfuehrera Brunckena. „Udziałowcami" całego lagrowego kompleksu były koncerny: Askania, Siemens, Agfa — pod wspólnym kryptonimem „IBN". Więźniowie z kacetu wprzęgnięci zostali do produkcji pocisków rakietowych V-2, więźniarki produkowały konwencjonalny lotniczy sprzęt bojowy, szczególnie „utajniony". Robotnicy cywilni — części do silników i detale wyposażenia maszyn bojowych. Arbeitslager cywilny podlegał formalnie kierownictwu i majstrom koncernu. Oni wszakże — prawie wszyscy — byli członkami SS i w tym charakterze podlegali zwierzchnictwu Poppenhagena, jako komendanta „przyczółku". Istnieją postronne dowody, że Poppenhagen i „Toni" Bruncken — zwany i w Arbeitslagrze „postrachem Benndorf" — ingerowali również bezpośrednio w sprawy „cywilnego" obozu. Bili także „podpadłych" robotników cywilnych, niekiedy „przenosili' ich do kacetu, zaś niektórych Kapo — do cywila w Arbeitslagrze. Pełnili więc — praktycznie — funkcję lokalnego gestapo.

Można mówić chyba tylko o przysłowiowym łucie szczęścia polskich chłopców, że żaden z nich nie znalazł się w bezpośrednim zasięgu owych „nadszefów"...

IV

„W pierwszej chwili wydaje się skazańcowi przybywającemu z Neuengamme do Helmstedt, a następnie urokliwą drogą przez wspaniałe bukowe lasy docierającemu do odległego o 6 km. Beendorfu, — iż powraca do życia (...) dla wielu z nas jednak Beendorf będzie cmentarzem (...) Kopalnia Bartelsleben, o 2 km, od obozu, zamieniona na podziemną fabrykę uzbrojenia lotniczego (...) jest domeną polskich, holenderskich, niemieckich i wielu innych robotników cywilnych. Od nas pracują tam kobiety i 50-osobowa ekipa męska, przeznaczona do robót najcięższych. My pracujemy w szybie „Maria". Jest to stara kopalnia, w której teraz przebijamy się do nowych, głębszych pokładów (...) Wieszają tutaj niewielu. Tu ma zabijać praca", — wspomina okres pobytu w Beendorf francuski więzień Neuengamme, dr. Albert J. Rohmer...

Takie oto jest miejsce pod niemieckim niebem, wyznaczone na dalsze „szkolenie" małoletnich polskich terminatorów mechaniki precyzyjnej...

I w takim właśnie miejscu: „...Zaraz w pierwszym dniu pobytu pan Lolek zorganizował nasze życie trybem harcerskim: pobudka, zbiórka na gimnastykę, mycie się, porządkowanie izby i jazda w drogę. Wracamy po 12 godzinach pracy głodni jak wilki. Zaczynamy więc wyprawy po kartofle. Mamy tylko jeden piec, z gotowaniem trzeba zatem czekać nieraz i do 1 w nocy. Ale najadamy się.

...W soboty pracujemy krócej. Urządzamy więc wieczorem kominki. Zapalone świece i lampki zastępują ognisko. Śpiewamy piosenki harcerskie, narodowe, ludowe. Mówimy wiersze i różne monologi, mamy gawędy i gry. Ostatnio tańczyliśmy krakowiaka na przedstawieniu dla wszystkich Polaków.

...Praca w kopalni ciężka, ale nie dajemy się. Nauczyliśmy się robić sobie przerwy wypoczynkowe podczas alarmów lotniczych (...) Nic przyjemniejszego, jak wsłuchiwać się w warkot silników i patrzeć na eskadry sunące nad Magdeburgiem, na Berlin.

...Założyliśmy sobie kółko samopomocy. Przy maszynach mamy czujki i na zmianę uczymy się, lub czytamy książki. Mamy już własną bibliotekę, 85 przeszmuglowanych z kraju książek. Wypożycza je bibliotekarz 3 razy w tygodniu, ramiutko dla dziennej, późnym wieczorem dla nocnej zmiany.

...Praca w kopalni daje się coraz bardziej we znaki. Cera żółknie, wzrok coraz słabszy. Niektórzy zachorowali na płuca. Ogarnia nas dziwne zmęczenie i apatia. Staramy się tego na zewnątrz nie okazywać. Udajemy humor.

...Przerażenie ogarnia, gdy patrzymy na więźniów, jak harują, jak są bici! Podrzucamy im jedzenie. My nie palimy — więc oddajemy im także papierosy. Staramy się podchodzić jak najbliżej drutów. Nigdy nie zapomnę, jak razem z nami zaśpiewali „Jest jedno słonko, co jasno lśni, — tym słonkiem, Polsko, jesteś nam Ty". Dobrze, że Niemcy nie rozumieli słów.

...W niedzielę wymknęliśmy się zastępami z lagru na zbiórkę w lesie. Stamtąd — do pobliskiej wsi, zanosząc uskładaną żywność dla „ewakuowanych" powstańców warszawskich. Śpiewaliśmy razem pieśni, mówiliśmy im wiersze. Witali nas i żegnali ze łzami w oczach. Opowiadali o Warszawie, o kanałach...

...Wybraliśmy samorząd. Prezesem jest Leszek Kasiński, zastępca Heniek Kaczor, sekretarzem Kazik Głuchowski, kronikarzem Olek Ulkowski, porządkowym Stefek Wójcik. Bibliotekę prowadzi Goliszewski.

...Na zebraniu bibliotekarz zgłasza wniosek o ukaranie kolegi, który przez niedbalstwo podniszczył książkę „Bitwa Grunwaldzka".

...Człowiek hartuje się w chwilach niewoli. Są one jakby próbą jego sił. Przetrzymują ją tylko silne charaktery — mówił Kazik na zebraniu. Skończyliśmy je o 11 w nocy, ale długo jeszcze od myślenia nie mogliśmy zasnąć.

...W święto mieliśmy mszę w kantynie obozowej. Umieściliśmy na stole-ołtarzu Matkę Boską Częstochowską. Namalował ją kolega Kamiński, nasz dobry opiekun. Zrobił też polską Szopkę.

...Urządziliśmy „kominek braterstwa". Zaprosiliśmy skauta francuskiego.

...Czy ten Nowy Rok będzie wreszcie rokiem zakończenia zawieruchy wojennej ?Rokiem Wyzwolenia? Boże, spraw, abyśmy już wkrótce wrócili do wolnej Ojczyzny!

...Urządziliśmy Sylwestra składkowo. Zaprosiliśmy naszych opiekunów i sympatyków, oraz Rosjan i Francuzów, chociaż czasem się z nimi kłócimy. Przemawiał pan Lolek.

...Dowiedzieliśmy się z gazet, że Łódź została wyzwolona. Na to konto zrobiliśmy specjalną zbiórkę. Wybraliśmy Radę Drużyny.

...Zorganizowaliśmy dla wszystkich Polaków specjalny wieczór. Zastępy „Wyg" i „Trampów" śpiewały piosenki marszowe, „Żubry" — pieśni ludowe, a „Tropiciele" — „Morze, nasze morze".

...Polsko, kraju święty, kochamy Cię i jakże tęsknimy za Tobą!

To tylko niektóre i wyrywkowe wypisy z rubryki „Zdarzenia i wypadki" w konspiracyjnej „Kronice", pisanej w Helmstedt-Beendorf.

d.c.n.

ZDARZYŁO SIĘ W OTWOCKU

Dalszy ciąg ze str. 5

obronić tegoż miasta przed grupami pijanych, rozwydrzonych chuliganów, rozbijających resztki posterunku, szyby budynku stacji manewrowej i jeszcze w sobotę palących barakowóz. Dlaczego tworzyli w najlepszym razie bierną część tłumu grożącego samosądem.

Jak się wydaje, jest Otwock miejscem, w którym — w dużej mierze niezależnie od samych mieszkańców — nastąpiło szczególne zawęzlenie niekorzystnych zjawisk społecznych. Jest to społeczność zdezintegrowana, żyjąca w ciasnych, sąsiedzkich enklawach, terryzowana z jednej strony przez nierzadki tu element przestępczy, z drugiej zaś żywiąca przekonanie o zagrożeniu ze strony organów mających czuwać nad jej bezpieczeństwem. Tu gdzieś chyba tkwi psychospołeczne tło zajść, w tej to temperaturze zapalił się budynek posterunku na dworcu. *„Moim obowiązkiem* — mówi przewodniczący MRN w Otwocku, *Zdzisław Opasała — jest bronić społeczeństwa. Faktem są nabrzmiałe w przeszłości urazy do i część obywateli ma rację".*

Węzeł, wydawałoby się nie do rozplątania. Z jednej strony bandy chuligańskie, z drugiej niechęć do funkcjonariuszy MO. Tak to jednak wygląda tylko z pozoru. Bo jednak *„część obywateli ma rację".* Żądanie zwolnienia aresztowanych prowodyrów zajścia (dla uspokojenia czytelników — nie unikną oni odpowiedzialności), wydawać się może aktem czysto irracjonalnym. Kiedy jednak posłucha się mieszkańców Otwocka i weźmie pod uwagę obieg plotki w tłumie, będzie można choć w części zrozumieć — nie usprawiedliwiając — to, co się stało. — Z konferencji prasowej otwockiej „Solidarności", odbytej po pierwszej turze rozmów komisji interwencyjnej z mieszkańcami: *„Sprawy, które do nas teraz docierają, sięgają jeszcze lat sześćdziesiątych. Są nabrzmiałe sprawy, zatajane częstokroć z powodu braku świadków, strachu poszczególnych osób, obawy o swoje bezpieczeństwo, interesy, o najbliższą rodzinę (...) Konkretnych spraw nie chcemy jeszcze ujawniać, trzeba je dokładnie zbadać. (...) Są pobicia, szantaże, wymuszenia, nadużycia władzy. (...). Były, o ile wiemy, przypadki karania milicjantów, kiedy winy nie można już było zatuszować, ale społeczeństwu tego nie ogłaszano, aby nie dawać satysfakcji".* Mężczyzna, który z przesłuchania w Komisariacie wyszedł z pękniętą błoną bębenkową (jest obdukcja lekarska). 15-letni chłopak, którego kilka lat temu bito owinąwszy kocem — aby nie spowodować obrażeń zewnętrznych (pozostały wewnętrzne). Trudne sprawy. Niektóre na pewno wątpliwe, niektóre jednak na pewno niewątpliwe. Otwocczanie mają jednak same wątpliwości.

3.

W ogóle trudne to sprawy. Nie stawiając żadnych jeszcze kropek nad „i" jeśli chodzi o szczegóły, można sobie jednak wyrobić o sprawie otwockiej i na jej podstawie — pogląd ogólny.

Niedobrze jest, jeśli organa pełniące społeczną służbę, mające chronić społeczeństwo, stoją poza społeczną kontrolą. Zdrowiej byłoby dla społeczeństwa, a więc zdrowiej byłoby i dla MO, gdyby inni obywatele, nie w mundurach, mogli mieć pełne przekonanie o tym, iż całe społeczeństwo podlega takim samym prawom. Tymczasem społeczeństwo takiego przekonania nie ma, gdyż wszelkie kwestie dotyczące organów ścigania, a w szczególności kwestie dotyczące praworządności ich działania, okryte są tajemnicą. W takiej sytuacji część społeczeństwa żywi przekonanie, że organa te prawu nie podlegają, że same sobie tworzą prawa. Nie sprzyja to powstawaniu klimatu wzajemnego zaufania, przeciwnie, rodzi fobie i urazy, sprzyja szkodliwej dla wszystkich plotce.

Każdy z nas chyba stanął w życiu w sytuacji, w której zaciągnął dług nie do spłacenia wobec milicjanta, w której uświadomił sobie naprawdę — bez frazesów — jaka to ciężka, niewdzięczna, a bywa że i niebezpieczna służba. Niektórzy z nas jednak zetknęli się z sytuacjami innymi — kiedy ogarniał ich lęk przed bezprawiem popełnianym przez stróżów prawa, przed brutalnością i bezwzględnością. A i, niestety w pewnych wypadkach, i bezkarnością. To drugie pamięta się dłużej.

W Otwocku, w tamtych fatalnych dniach, nastąpiło skumulowanie zadawnionych, słusznych i niesłusznych niechęci. To straszne, co się stało — ten symboliczny lincz, jaki wydarzył się przy aprobacie, a przynajmniej bierności lub bezradności tłumu. Straszne, jeśli uświadomimy sobie, że możemy zostać zapędzeni w sytuację, w której staniemy sami, oko w oko, z podpalaczami.

To powinno nami wstrząsnąć. Wszystkimi. W mundurach i bez.

JERZY KATARASIŃSKI

KUPUJCIE, LUDZIE!

W najgorszych snach nie wyobrażałem sobie, że sklepy mogą być tak doszczętnie, tak dosłownie p u s t e. Kiedy po wyjściu z Dworca Głównego w Warszawie zanurzyłem się w podziemne przejścia i zobaczyłem na ścianach podświetlone wielkie zdjęcia społemowskich sklepów, na których uśmiechnięte sprzedawczynie pracują na tle uginających się pod towarem półek — zachichotał we mnie złośliwie puszczyk i wielkie rozgoryczenie jeszcze raz uderzyło w serce. Bo naprawdę sklepy prawie wszystkich branż są p u s t e, jak tuż po zakończeniu remontu.

Przez szereg tygodni w ramach jawności wszelkich poczynań zapowiadano podwyżkę cen alkoholu. Tylko skończony idiota powstrzymałby się w takiej sytuacji od zakupu wódy, jeśli tylko trafiła się możliwość. Pisma zachodnie zamieszczały zdjęcia publicznych spowiedzi na placach, ołtarzy w okupowanych lokalach — i kilometrowych kolejek przed sklepami z napisem „Wyroby monopolowe". Według tamtejszych reporterów te właśnie zdjęcia charakteryzowały najlepiej sytuację w Polsce. W Zakopanem w Peweksie wywieszono informację, że jednej osobie nie sprzedaje się więcej niż dwie skrzynki wódki. Dwie skrzynki! Kilkadziesiąt litrów... W kolejce naliczyłem czterdzieści osiem osób.

Przez dwa miesiące debatowano publicznie w ramach konsultacji społecznej nad zreglamentowaniem masła Tylko tępy matoł nie próbowałby wobec tego zgarnąć póki czas do dziupli tyle masła, ile się tylko dało. Słyszę o zapobiegliwych gospodyniach, które zgromadziły po pełnym wiadrze masła, nie mówiąc o wiadrach topionego smalcu.

Czytam w prasie o tym, że dziesięć wytwórni konserw rybnych zatrzymuje produkcję z powdu braku blachy na puszki do konserw. Czytam i wiem, że jeśli gdzieś zobaczę przypadkiem jakieś puszki, to kupię ich kilkadziesiąt na zapas.

Czytam o tym, że produkcja papierosów będzie w najbliższych miesiącach maleć, i wiem z całą pewnością, że już od dziś nie dostanę papierosów nigdzie, a jeśli dziwnym trafem gdzieś je zobaczę — to kupię ile się tylko da, wszystko jedno jakich. Wtedy oczywiście ktoś inny już nie dostanie nic, chyba że to on kupi ile się da, a dla mnie nie starczy.

Takie są prawa rynku i takie są — absolutnie logiczne — zasady działania homo oeconomicus, człowieka myślącego. Nie ma co psioczyć na zachłanność ludzką: każdy z nas będzie kupował wszystko, w każdej ilości, bo pieniądze się nie liczą, a okazja kupna czegokolwiek trafia się rzadko. Tak musi być, a alarmistyczne artykuły, w których pławi się z lubością prasa, potęgują tę tendencję.

Pieniądze się nie liczą. Parę dni temu widziałem, jak w księgarni ludzie wyrywali sobie z rąk potężny Słownik poprawnej polszczyzny po kilkaset złotych. Brali po cztery — pięć egzemplarzy, brali ludzie, którzy — sądząc z myślących twarzy — nie przeczytali w życiu żadnej książki. Bo inni brali, bo jest nareszcie coś do kupienia, bo zabraknie, bo się odpali z zyskiem.

Sklepy Mody Polskiej w Warszawie puste. Potrójne — w stosunku do zwykłej konfekcji — ceny nie grają roli. Ta zwykła konfekcja jeszcze w domach towarowych wisi, ale przyjrzyjcie się temu bliżej. Tego nikt nie kupi, chyba, że prasą ogłosi możliwość zamknięcia fabryk odzieżowych, albo podwyżkę cen, albo reglamentację odzieży. Wtedy lawina klientów runie na odnośne stoiska i kupimy wszyscy po tuzinie garniturów, wcale ich nie mierząc. Jeszcze jedno piętro w „Centralu" zacznie świecić pustkami.

Jakiż ma być morał tego felietonu? Nie myślę piętnować chomikarstwa, zachłanności, opętanego kupowania wszystkiego w wielkich ilościach. Jeszcze raz powtarzam: To jest normalne, logiczne postępowanie ludzi rozczarowanych, ciężko doświadczonych. Uważam natomiast — a wiem, że zaraz powiem coś bardzo niepopularnego — uważam, że zapowiadanie z góry coraz nowych braków i ograniczeń nie jest najlepszym przejawem polityki informacyjnej. „Kupujcie, ludzie, bo nie będzie!" „Łapcie, co się da, bo później nikt wam nie da i nie pomoże!" „Lepiej potem wyrzucić, niż zostać frajerem z pustymi rękami!"...

Czyż nie są to hasła, powodujące ogromne marnotrawstwo dóbr? Czy mamy tak dużo do zmarnowania?

ĆWIEK

100 LAT

Kryzys dosięgnął również sportu. Nic w tym dziwnego. Już od dawna wszystko wskazywało, że stanie się właśnie tak, a nie inaczej. Powoli chyliła się ku upadkowi nasza bokserska potęga. I oto stało się. Z Tampere powracają nasi bokserzy z jedynym wicemistrzem Europy — Krzysztofem Kosedowskim oraz dwoma brązowymi medalistami: Bogdanem Maczugą i Zygmuntem Gosiewskim. Tym razem na ringu w Tampere triumfy święcili bokserzy radzieccy.

Nie wiedzie się nam — i to od samego początku — w 34 Wyścigu Pokoju. Wyścig ten — jak twierdzą bezpośredni obserwatorzy — został właściwie już rozstrzygnięty na korzyść kolarza ZSRR. Mają oni zwycięstwo drużynowe już jakby w kieszeni, choć to zaledwie początek ścigania się na rowerach po szosach NRD, CSRS i Polski. Nasi zmęczyli się na pierwszym etapie, zagapili i pojechali fatalnie. Strata do liderów — kolarzy ZSRR. W drugim etapie Jan Jankiewicz próbował ratować honor Polaków i zabrał się z uciekającymi kolarzami radzieckimi. Dzięki temu przyjechał czwarty na metę w Erfurcie. Kolarze radzieccy umocnili swoją przewagę. Drużyna polska, zajmująca po dwóch etapach drugie miejsce ma do nich straty 29,56 minut. Czwarty — Jan Jankiewicz ma straty do lidera — I. Miszczenki — 4 minuty. I wszystko wskazuje, że znów nie odegramy decydującej roli w Wyścigu Pokoju. Jak się któremuś z naszych uda wywalczyć zwycięstwo etapowe, to i tak będzie dobrze. Takie opinie — w każdym razie — głoszą bezpośredni obserwatorzy 34 Wyścigu Pokoju.

Nie lepiej jest też na boiskach piłkarzy. Jedenastka RTS Widzew poważnie zagrożona jest na swojej pierwszej pozycji w ligowej tabeli. Już się mogło wydawać, że Legia sięgnie po zaszczyty lidera, gdy tymczasem legioniści, w meczu z Bałtykiem zdobyli gola i spoczęli na laurach, pewni, że słabszy w tym spotkaniu Bałtyk nie odważy się zremisować. Ale piłkarze Bałtyku sprawili im niespodziankę i w 90 minucie strzelili wyrównującą bramkę. W ten sposób Legia straciła punkt i przy zwycięstwie Widzewa nad bydgoskim Zawiszą, nadal ustępuje Widzewowi dwoma punktami. Nie jest to już dużo. Tym bardziej, że w najbliższym meczu między Legią a Widzewem wszystko się rozstrzygnie. Chyba, że będzie remis. A poza tym warto pamiętać, że walczących o pierwszą pozycję piłkarzy Widzewa i Legii gonią piłkarze krakowskiej Wisły, którzy do Legii mają stratę tylko jednego punktu, a do Widzewa — trzech punktów. A Widzew jakoś nie prezentuje najwyższej swojej formy. Podobnie i Legia. Wszystko więc może się zdarzyć.

Rejestruję te fakty trochę przez przekorę, chcę bowiem napisać o jubileuszu prasy sportowej, która przed 100 laty wzięła na siebie obowiązek nie tylko rejestracji historii polskiego sportu, ale też jego popularyzowanie wśród społeczeństwa polskigo trzech zaborów. Początek prasy sportowej liczy się od powstania w Galicji 1 kwietnia 1881 roku miesięcznika „Przegląd Gimnastyczny". Było to pismo Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" działającego we Lwowie. „Przegląd Gimnastyczny" redagował Tadeusz Żuliński. Formuła pisma — jak o tym informowali sami jego redaktorzy — sprowadzała się do następującego stwierdzenia : „pismo nasze podając dla towarzystw gimnastycznych przepisy i ćwiczenia gimnastyczne, obok tego głównie zajmuje się higieną publiczną i prywatną jako też sprawami wychowania fizycznego". Rubryka poświęcona sportowi i zatytułowana „Sport" powstała w „Przeglądzie Gimnastycznym" w lutym 1900 roku. Redagowali ją Alojzy Wallek i Kazimierz Hemerling. Później powstały inne pisma sportowe. W latach 1881—1918 wychodziło na ziemiach polskich 36 pism sportowych, poświęconych różnym dziedzinom sportu.

Nie sposób 100 lat prasy polskiej sportowej zamknąć w krótkim felietonie. Tym bardziej, że Bogdan Tuszyński — jedyny właściwie badacz tej dziedziny historii prasy polskiej — napisał już na ten temat kilka książek. A karierę swoją, dziennikarza sportowego, a później badania dziejów prasy sportowej, zaczynał w Łodzi. Jego mistrzami — jak sam to pisze we wstępie do książki pt. „Sprintem przez prasę sportową" — byli: nieżyjący już Wiesław Kaczmarek i pisujący jeszcze od czasu do czasu Władysław Lachowicz. Ten pierwszy przygarnął młodziutkiego, ucznia jeszcze, Bogdana Tuszyńskiego do „Kuriera Popularnego". Ten drugi — do „Dziennika Łódzkiego". Ale najbardziej fascynował Bogdana Tuszyńskiego „Przegląd Sportowy". To właśnie studiowanie zaległych numerów tego pisma sportowego nasunęło myśl, aby zobaczyć kto i jak pisał przed tymi, którzy piszą obecnie. I tak zrodziła się pasja kronikarza, historyka i badacza. Pasja, której Bogdan Tuszyński poświęca cały swój wolny od pracy zawodowej czas. Jest on przecież znanym bardzo czynnym sprawozdawcą radiowym. Jego charakterystyczne: „Alu, alu, ze Studia S — 13 mówi Bogdan Tuszyński" można usłyszeć przy wszystkich ważniejszych imprezach sportowych w kraju i za granicą.

Ostatnio Bogdan Tuszyński wydał nową książkę nakładem Wydawnictwa „Sport i Turystyka". Jest to „Prasa i sport". Wydawnictwo specjalnie przygotowane na 100-lecie prasy sportowej. Warto do tej książki sięgnąć. Ale jest to juz osobny temat.

BOGDA MADEJ

ŻYĆ W CIEKAWYCH CZASACH?

Jeszcze przedsierpniowy tytuł książki, który przywołuję w nagłówku tego tekstu, miał wówczas sens profetyczny. Jak myślę, autor tej książki nie do końca zdawał sobie sprawę jak bardzo „ciekawe" były tamte czasy (wciąż przecież odkrywa się nowe sensacje), a jedynie w jakimś iluminacyjnym przebłysku wymyślił tytuł, który dzisiaj brzmi jak przekleństwo: obyś żył w ciekawych czasach!

Weekendy, w czasie których telewizja kładła balsam na nasze oczy, wedle zasady „coraz lepiej, coraz więcej", co najwyżej przestrzegając przed wypadkami drogowymi, teraz zatraciły swój sielankowy nastrój. Prawda, że weekendów jest obecnie dużo, a dobrych wiadomości prawie wcale i trudno oczekiwać, aby w najbliższym czasie sytuacja uległa zmianie. Można więc wyrażać wątpliwości co do stanu zdrowia psychicznego naszego społeczeństwa od miesięcy leczonego elektrowstrząsami. Choć, z drugiej strony, należy się pocieszać, że jeśli kapitaliści wytrzymują swoje krzyzysy, upadki rządów, terrorystów, giełdowe bessy, to dlaczego my, materialistycznie zracjonalizowani, mielibyśmy przegrać?

Właśnie odbyła się druga tura wyborów prezydenckich we Francji. Wygrał je kandydat lewicy Francois Mitterrand. Wprawdzie ponoć Marcin Willman to przewidział (przed ogłoszeniem wyników dyplomatycznie wróżył na dwoje), jednak zwycięstwo socjalisty jest z całą pewnością polityczną sensacją. Piszę o tym, nie po to, aby „mieszać się w wewnętrzne sprawy" V Republiki. Nie — mam cel skromniejszy. Otóż sądzę, że te trzy, albo cztery zdania, które usłyszeliśmy w niedzielnym (10 maja) wydaniu Dziennika tv na temat tego ważnego, w skali europejskiej wydarzenia, to stanowczo zbyt mało. Tym bardziej, iż Francja spośród wszystkich krajów Zachodu, ma modelowy udział w naszej polityce międzynarodowej. Można byłoby się zatem spodziewać rozleglejszej informacji na temat przebiegu wyborów, programu Mitterranda, wstępnych prognoz, dotyczących jego siedmioletniej prezydentury itd. Wiem, że TvP cierpi na brak dewiz, więc nie domagam się podróży specjalnej ekipy, która tam, na miejscu, próbowałaby dociekać przemian świadomościowych Francuzów, ich oczekiwań i politycznych aspiracji, aby nas o tym na gorąco informować. (Zresztą, jak się zdaje, rzecz nie tylko w pieniądzach, a w zachowawczych nawykach). W zamian chętnie zobaczyłbym i posłuchał kompetentnego komentatora, który bez zadyszki Andrzeja Bilika (dzwonił z Paryża) i beztroski Marcina Willmana (przekazał parę faktów biograficznych z „Encyklopedii Popularnej") potrafiłby wynik wyborów omówić w rzeczywiście poznawczym kontekście. A tu jak na ironię: Magazyn Spraw Międzynarodowych przewidziany na niedzielę opóźnił swoją premierę.

Paryż, Paryżem — niechaj debatują Francuzi. My mamy kolejny incydent, tak zwany otwocki. Piszę „kolejny" choć cała sprawa nie daje się z niczym porównać. Dwóch pijaków, wykorzystując społeczną temperaturę, wywołuje drakę o nieobliczalnych skutkach. Telewizja, nauczona smutnym doświadczeniem konfliktu o zupełnie różnym charakterze i różnych kontekstach, tym razem przekazywała swoim odbiorcom całą story o otwockiej awanturze. Czy nie było tego Otwocka w nadmiarze — mogli zapytywać niektórzy widzowie. Po wielenasz wróg". Po trzecie, z tego smutnego serialu, który opowiadał dziennik przez kolejne wieczory, wynika jeszcze jedno: nieufność może być wywołana przez byle incydent, zaufanie buduje się przez całe lata. Uwaga ta dotyczy nie tylko wiarygodności informacji przekazywanych przez telewizję, ale i także (o czym świadczy Otwock) wszelkich więzi na linii instytucje władzy i prawa — społeczeństwo.

Rzeczywiście czasy są ciekawe. Nawet Wyścig Pokoju, impreza barwna i wciąż atrakcyjna, rozpoczął się od skandalu. Nasza drużyna przebiera nogami w Berlinie oczekując na rowery (domniemywa ponadto jakąś intrygę uknutą w centrali przeciwko trenerowi), a tu tymczasem konwojenci kolarskiego bagażu, rozliczają się na granicy z lisich skórek, kawioru, zegarków i butów, przemycanych „przy okazji"! Kolarze nie mają z tym nic wspólnego — zapewniają redaktorzy bardzo solennie. Wyścig dopiero się rozpoczął, ale wszystko już jest jasne. Może dlatego transmisję z niedzielnego etapu redakcja sportowa nadała z kasety? Tylko po co ta musztarda po obiedzie? Jeśli nie daje się relacji na żywo, wystarczą przecież informacje w dzienniku i w „Kronice Wyścigu". Po co trzy razy włączać tę samą kasetę zabierając czas innym audycjom?

Znów nie popisał się Andrzej Koziorowski komentując mecz Legii z Bałtykiem. Tak bardzo założył sobie zwycięstwo Legii („znakomita realizacja zasady minimum wysiłku przy maksimum efektów" — krzyczał), że gol piłkarzy z Gdyni prawie umknął mu z pola widzenia. Ale niechaj tym martwi się Ryszard Dyja delegując sprawozdawcę na mecz Legii z Widzewem.

Oglądając telewizję coraz częściej zadaję sobie pytanie: czy będziemy w stanie przeżyć te nasze ciekawe czasy?

GRZEGORZ GAZDA

EX – MACHINA – DUREJKO CZYLI POCHWAŁA UBÓSTWA

Niezbyt często gości Norwid na ekranach telewizyjnych. Tak jak nieczęsto wystawia się go na scenie. O ile „późny wnuk", jak przewidywał poeta, ocenił jego liryki, zrewidował krzywdzącą Norwida opinię współczesnych, o tyle nie pozwolił mu dotąd zadomowić się na scenie teatrów, w tym także teatru telewizyjnego.

Jakie są tego przyczyny? Czy tkwią one w subiektywnym stosunku do dramaturgii Norwida współczesnych reżyserów? Przecież sądząc po deklaracjach, każdy człowiek teatru wydaje się doceniać nieszczęsnego za życia, a tak głęboko mądrego poetę. A jednak niewielu sięga po jego teksty, by je zainscenizować. Po Wilamie Horzycy, który był w tej mierze pionierem, najczęściej porywa się na dramaty Norwida Kazimierz Braun, który wystawiał je ze zmiennym szczęściem także w teatrze telewizji.

Tym razem oglądaliśmy „Pierścień wielkiej damy" w reżyserii Witolda Zatorskiego, który jak pamiętamy ostrogi reżyserskie zdobywał w Łodzi. W podtytule sztuki autor określa ją jako „tragedię we trzech aktach — z opisaniem dramatycznego ciągu scenicznych gestów — i ze wstępem". Norwid pisał więc tekst swój z wyraźną myślą o scenie, o teatrze, zakodowując swą wizję przedstawienia w didaskaliach odautorskich. We wstępie napisanym do sztuki i w liście do poety Bohdana Zalewskiego, pisanym w Paryżu 9 listopada 1872 roku, to jest w dniu ukończenia nad nią pracy, nazywa Norwid „Pierścień wielkiej damy" dwojako: biała tragedią i haute-comedie, czyli dosłownie tłumacząc, wysoką komedią.

Tragedia biała to taka, w której bohaterów nie spotyka śmierć, czy inne dopusty natury zewnętrznej. Katastrofa następuje w nich samych, jest natury uczuciowej i mentalnej. Haute-comedie, pojęcie wywodzące się od Diderota, przeciwstawiał Norwid komedii buffo typu fredrowskiego.

A więc tragedia bez wstrząsających wydarzeń i komedia z bladym uśmiechem jeno, bez potoczystego humoru — oto jak scharakteryzować można by „Pierścień wielkiej damy". Nie trudno nie powiedzieć sobie, jak bardzo dramat Norwida nie jest „samograjem", jak skomplikowaną sprawą jest przetopienie go w interesujące widowisko.

Bohaterka tytułowa sztuki, hrabina Harrys, ma — jak się powszechnie uważa — swój pierwowzór w pięknej Marii Kalergis z domu Nesselrode, damie, której stryj był premierem carskiego rządu, a pierwszy mąż milionerem greckim. Nordwid kochał się w pani tej na zabój i beznadziejnie. Gdy raz w Berlinie spróbował się jej oświadczyć siedząca właśnie przy fortepianie, odpowiedziała mu tylko glissandem na klawiaturze, a wykonała owo glissando pięknie, jako że gry uczył jej sam Chopin.

Damą do towarzystwa i powiernicą Marii była inna Maria — Trembicka, której nieszczęsny poeta przez długie lata zwierzał się ze swej nieodwzajemnionej miłości do pani Kalergis. Wreszcie spróbował oświadczyć się, w liście pisanym, bodaj ze Stanów Zjednoczonych, samej Marii Trembickiej, ale też z negatywnym skutkiem. Powiernica Marii Kalergis znalazła również swój literacki konterfekt w „Pierścieniu wielkiej damy" w osobie Magdaleny Tomir.

Pozostaje jeszcze dodać, że trzeci bohater sztuki, Mak-Yks, jest zwierciadlanym odbiciem samego Norwida. Ten ubogi młody człowiek jest kuzynem hrabiny Harrys, a raczej jej nieboszczyka męża. Wielka dama ledwie raczy go zauważać, a on sam kryje się ze swą miłością do niej, widząc się pozbawionym wszelkich szans. Bardziej atrakcyjnego amanta, grafa Szeligę, odtrąca hrabina z wyniosłych chłodem.

I oto trzeba kompromitującego, zdawałoby się, dla Mak-Yksa wydarzenia, ujawnienia w obliczu zgromadzonych gości, że biedny młodzian ukrył podczas przyjęcia u hrabiny „złamki chlebów", by mieć pożywienie na dzień następny — by zniwelowała się nagle przepaść dzieląca go od wielkiej damy. Obnażone ubóstwo podziałało na hrabinę silniej niż otaczający ją przepych i dostatek. Reakcja kobiet bywa nieoczekiwana.

Takie szczęśliwe dla Mak-Yksa rozwiązanie wpisał Norwid do swej sztuki. W życiu nie powiodło mu się tak, jak jego bohaterowi. Opuszczony przez przyjaciół, samotny, schorowany, zapoznany jako poeta, zakończył życie w przytułku św. Kazimierza w Paryżu, domu przeznaczonym dla weteranów polskich.

Z trudnego zadania inscenizacyjnego wywiązał się Witold Zatorski bardzo umiejętnie. Zadbał przede wszystkim o to, by treść utworu docierała do widza w sposób możliwie klarowny. O poziomie przedstawienia zadecydowało aktorstwo przy tym na pierwszym miejscu nie postawiłbym Danuty Kisiel (Hrabina Harrys) ani Krzysztofa Wakulińskiego (Mak-Yks), ale Marka Walczewskiego (Szeliga), a dalej Izę Pieńkowską (Magdalena), Bogdanę Majdę (Klementyna) i Janusza Kłosińskiego (Durejko). Ci dwoje ostatni wnieśli do widowiska niezbędną dozę humoru.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; ul. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granice przyjmuje RSW „Prasa-Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV odd. lal w Warszawie nr 1153 201045 139. prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łodzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1019 K-2.